6 stron z dodatkiem „ŻYCIE KRAJU“

NOWOŚĆ
Stefan Kaczorowski
CUD JASNEJ GÓRY
Szkic historyczny
192 str. Oprawa płóc.
CENA 12/6 plus przesyłka.
Do nabycia
w KATOLICKIM OŚRODKU WYDAWNICZYM „VERITAS“
12 Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 1/6-

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

ROK X. Nr 27 (471)

NIEDZIELA, 1 LIPCA 1956 R.

OSTATNIA NOWOŚĆ!

JAN GUARESCHI

DON CAMILLO I JEGO TRZODA

Nowy tom opowiadań w tłumaczeniu
Jana Bielatowicza

Stron 192. Oprawa płócienna — obwoluta. CENA: szyl. 15/-
fr. fr. 750
dol. 2.50

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY »VERITAS«
12 Praed Mews, London, W. 2, England

PRENUMERATOROM „BIBLIOTEKI POLSKIEJ“ TOM POWYŻSZY ZOSTAJE ROZESŁANY W BIEŻĄCYM TYGODNIU

PUNKTY WIDZENIA

BEZ REALIZMU I BEZ DEMOKRACJI

Muszę powrócić do tematu, który niedawno omawiałem, do zagadnień swobody religijnej w Polsce, oraz wzmagającej się propagandy ateistycznej. Temat ten aktualizuje się w Kraju coraz bardziej, a dzienniki i tamtejsza prasa tygodniowa zajmują się nim coraz obszerniej, w swoisty, oczywiście, sposób.

Sądząc z ilości tych artykułów, różnorodności na ten temat pogadanek radiowych, a przede wszystkim tonu, w jakim się te sprawy omawia, trzeba dojść do przekonania, że mamy do czynienia z formalną kampanią „przeciw-fideistyczną“, podjętą przez komunistów w nowej, zaktualizowanej wersji. Ni mniej ni więcej kampania ta pojawia się w formie apelu o obronę zagrożonych przez religię pozycji ateistycznych. W dziesiątkach nawoływań stwierdzają komuniści, że „religianci“ podnieśli głowę, że przystąpili do ataku, że używają metod przemocy i gwałtu, że sprowadzają na Polskę „nowe średniowiecze“.

„W przytoczonych przez nas przykładach — mówiła 21 czerwca br. „Fala 49“ — cała nienawiść Ciemnogrodu, cała jego podłość wybiera sobie za ofiary dzieci, istoty bezbronne i słabe. Każda podłość wybiera sobie słabego i bezbronnego przeciwnika, bo z takim jest najłatwiej walczyć. Drugą zaś cechą podłości jest to, że kryje ona swe oblicze ohydne pod maską wzniosłych słów i myśli. Taką maską dla mącicieli stosunków, dla dewotów i inkwizytorów wszelkiego autoramentu jest rzekoma walka o wiarę. Ale każdy, kto umie myśleć, kto ma serce i rozum, wie, że nie o wiarę tu chodzi. Czemu jednak przypisać fakt, że ostatnio wzmogła się w kraju działalność wszelkiego rodzaju wojujących dewotów? Pisała do nas nauczycielka wiejska, obywatelka M.R. ze Śląska: — Szaleją obecnie dewotki i histeryczki, które nie są zdolne do żadnej dyskusji. Obelgi i krzyki — to ich jedyny oręż. Ta kołtuneria usłyszała coś o XX zjeździe i podnosi teraz głowę.“

„To chyba tak“ dodaje „Fala 49“.

Tak, ale niezupełnie. Zastanówmy się spokojnie nad całością tego zjawiska, a ma ono wiele różnych aspektów.

Jak ta sprawa wygląda od strony komunistycznej? Ogłoszono, szczerze czy nie szczerze, liberalizację stosunków na wszystkich odcinkach życia. Trudno sobie wyobrazić, ażeby można było spod tego liberalizmu wyłączyć życie religijne. Od lat prześladowane, poniewierane przez reżym, ograniczane i tłumione, chce teraz doznać choć trochę owej deklarowanej swobody. A ponieważ jedenastoletnie prześladowania reżymu nie naruszyły proporcji pomiędzy ludźmi wierzącymi i niewierzącymi w Polsce, potężna większość społeczeństwa jak była tak jest katolicką. Z prostej arytmetyki deklarowanej demokracji wynikałoby, że prawa tej wielkiej, przytłaczającej większości powinny być szanowane i niekwestionowane.

Tak, ale marksizm, to przecież demokracja z ograniczeniem. Cóż bowiem w takim razie stałoby się z tymi enklawami ateizmu, które z wielkim trudem udało się stworzyć komunizmowi w Polsce wśród półinteligencji obałamuconych aktywistów partii? Przecież te mozolnie usypane wysepki po prostu znikną w morzu ludzi wierzących. Dopuścić do tego nie można, choćby z tej przyczyny, że wraz z nimi runie w Polsce filozoficzna podbudowa materializmu dialektycznego.

Redakcje pism komunistycznych ogłaszają dziesiątki listów, otrzymywanych od czytelników. Jeżeli jakaś część tych listów jest autentyczna, to przyznać trzeba, że jest w nich pewne zastraszenie czy niepokój. Ich treść możnaby zamknąć w takim skrócie: Towarzysze z kierownictwa partii, poradźcie coś na to! Przecież mówiliście, że religia to zabobon, a oto, co się dzieje — ona wzbiera falą rosnącą. I jak zwykle w takich wypadkach, wystraszenie wyraża się w niestworzonych zarzutach. Że dzieci ateistów w szkołach są prześladowane, że księża za pośrednictwem specjalnych bojówek ciągną nie ochrzczonych do chrzcielnic w kruchtach kościelnych, że dokonywane są gwałty na ateistach i tym podobne bzdury i wymysły.

Prawda jest zupełnie inna. Nic na to nie można poradzić — Polska jest krajem katolickim, a jej mieszkańcy są ludźmi wierzącymi. Jeśli się powiedziało o wolności sumienia, to trzeba się z tym zgodzić, że katolicy pozostaną katolikami i będą ten swój katolicyzm manifestowali. Jest rzeczą oczywistą, że na tym tle zblednie wydęty frazes ateistyczny i mniej imponująco rysować się będą grupki zwerbowanych „racjonalistów“. Ale to jeszcze nie katastrofa. Wydaje mi się, że jest bardzo niemądrą rzeczą sztucznie wymyślać i lansować kampanię uciskania komunistów przez wierzących katolików. Po prostu dlatego, że to jest zbyt naiwne i zbyt nieprawdopodobne.

Inna rzecz, że na tym tle rozwijających się obecnie procesów, może zachodzić wiele tragedii „światopoglądowych“, zwłaszcza wśród dzieci. Dzieci — ateistów jest w klasach po jednym, po kilkoro. Najzupełniej rozumiem, że ich odosobnienie wśród pozostałej dzieciarni może być bardzo przykre. Ale ubieranie tej ich sytuacji w obraz jakiegoś inkwizycyjnego prześladowania jest po prostu nieprawdziwe. Należy zapytać, kto całą tę anormalność izolacji dziecka niewierzących rodziców w szkole stworzył? I gdzież tu jest zasada wolności sumienia? Czy dziecko kilku, albo kilkunastoletnie mogło samo dojść do stanowiska materialistycznego? Dlaczego w tym zakresie nie pozostawić sprawy swobodnemu rozwojowi wypadków, ale doprowadzać do napięć na terenie szkoły przez usztywnianie stanowiska tych nielicznych rodziców, którzy dostali się pod wpływ doktryny materialistycznej?

W artykule niniejszym chodzi mi o wskazanie zgubnej przesady, jakiej się chwycił reżym komunistyczny w Polsce, aby ratować równocześnie zasadę „odwilży“ i dalszego ograniczania religii. Ta przesada wyraża się w kampanii nieprawd i zmyślania.

Polska jest krajem ludzi wierzących i podnoszenie alarmów oraz montowanie całych kampanii nic na to nie poradzi.

J. K.

STANISŁAW GROCHOLSKI

NOTATKI IRLANDZKIE

I.A.C.U.S. (Irish Association of Catholic University Students — obejmująca studentów i seniorów) zaprasza na kongres do Belfastu z odczytem o Polsce, trzeba więc co prędzej odrobić zaległość i zanotować garść ważniejszych spostrzeżeń z wiosennego wypadu do Irlandii.

Dzięki inicjatywie Sekretarza Fundacji „Veritas“ i jego irlandzkich przyjaciół zostałem zaproszony z odczytami o położeniu Kościoła w Polsce przez uniwersytety w Corku i w Dublinie oraz przez katolickie środowisko na uniwersytecie w Belfaście. Chodziło także o to, by pchnąć starania o pomoc dla polskiej roboty katolickiej na wygnaniu.

„Veritas“ ma już ustaloną pozycję w Irlandii, jako polska „ambasada“ katolicka i kulturalna. Polscy studenci, kolejni kierownicy naszego hostelu w Corku, członkowie P.K.S.U. „Veritas“, a przede wszystkim Wojciech Dłużewski, który od dziesięciu lat współpracuje z uniwersytetami w Irlandii, sprawili, że Stowarzyszenie, Fundacja i Ośrodek Wydawniczy są znane wszędzie tam, gdzie się polskimi sprawami interesują.

CORK I „DOM POLSKI“

Zaopatrzony niepotrzebnie w wizę irlandzką, o którą nikt tu nie pyta, wylądowałem w Corku. Spotkał mnie dr Stanisław Bóbr-Tylingo (historyk), obecny kierownik Domu Studenckiego Fundacji „Veritas“, od niedawna przybyły, ale już doskonale wprowadzony w stosunki miejscowe.

Oficjalna nazwa hospicjum brzmi: „St. John Hale“, ale wszyscy nazywają je „Polish Hostel“. Solidny budynek przy 9 Dyke Parade nad wodami Lee spełnia z powodzeniem rolę Domu Polskiego. Pokoje ładne; ubogo, ale miło; wesoło i gościnnie. Współpraca między studentami a kierownikiem i jego uroczą małżonką (inż. agronom i biolog) układa się doskonale. Przyszli lekarze współdziałają w „housekeepingu“. Asystowałem przy „operowaniu“ wspaniałego łososia, nabytego korzystnie na „rynku“, przez kol. Stopczyńskiego, z którym miałem przyjemność dzielić obszerną komnatę. Ilość Polaków, niestety, maleje; w hostelu gnieżdżą się miniaturowe „narody zjednoczone“; cudzoziemcy chwalą sobie polską atmosferę swobody.

„Polska kawa“ zebrała w Domu Polskim całą młodzież i nieliczną kolonię polską. Przybysz został poddany krytycznej indagacji; dostało się, jak zwykle i często słusznie, „polskiemu Londynowi“, choć np. taki F.O.S.P. spotkał się z uznaniem. Jeździłem jako „kurator“, a więc politycznie musiałem być wstrzemięźliwy; stwierdzam jednak obiektywnie, że przy odrzekaniu się od polityki, bardzo się nią jednak interesowano.

Organizacje polskie, niegdyś liczne, posnęły, nawet Zrzeszenie Studentów, utrzymują się „Veritas“ i Skarb Narodowy. Omawiano sprawę łączności z tymi centralnymi organizacjami, z którymi kontakt pozwala dołączać do szerszych polskich poczynań. Studenci (i studentki!) skarżyli się na odcięcie i zapomnienie; obustronny wysiłek mógłby tej bolączce zaradzić.

Z rozmów wynika, że chociaż od Corku atrakcyjniejszy jest... Paryż, to jednak uczyć się tu można lepiej niż gdzie indziej, choćby dlatego, że dystrakcji niewiele, życie jest tanie, a atmosfera przyjazna. Opinia jest zgodna, że należy utrzymać polski ośrodek w tym centrum uniwersyteckim, które się rozbudowuje. Dyplomy irlandzkie są uznawane na całym obszarze językowym angielskim. Irlandczycy przestrzegają przed zbytnim pędem ku medycynie; z powodu nadmiaru medyków ograniczono już przyjęcia. Wskazane byłoby wykorzystanie rozwijających się wydziałów humanistycznych.

U. C. C.

Pierwszym krokiem — jest spotkanie z naszym przyjacielem V. Rev. Canon James Bastible, D.D., który od roku 1938 jest Dean of Residence, University College Cork (U.C.C.). Wesoły, „rzymski“ kanonik chwali Polaków i wyraża uznanie z powodu piorunującej aklimatyzacji pp. Bóbr- Tylingo. Żałuje, że kurczy się grupa polska. Obiecuje pomoc w utrzymaniu „Domu Polskiego“.

Prezydent U.C.C., prof. Henry St. John Atkins, matematyk, obywatel Corku, b. student i b. kwestor uniwersytetu, przyjmuje niezwykle uprzejmie. Zapewnia, że uniwersytet jest dumny z udziału w goszczeniu polskich studentów. Chce utrzymania hostelu i obiecuje najżyczliwsze rozpatrywanie polskich sugestii. Doradza zainteresowanie się humanistyką, ekonomią, rolnictwem i mleczarstwem; Irlandia chętnie by widziała polskich naukowców pomocnych w rozwoju życia uniwersyteckiego i techników rolnictwa. Przedstawia plany rozbudowy uniwersytetu. Podkreśla wysiłek, aby kursy nauk ścisłych i techniki były uzupełniane studiami humanistycznymi katolickimi (np. medycy i dentyści przechodzą kursy etyki medycznej oraz podstaw filozofii, socjologii i psychologii). Pokazuje imponujące gmachy (nie dokończone), nowoczesne przybudówki, kaplicę w stylu staro irlandzkim ze ślicznymi witrażami, przypominającymi fryburskie Mehoffera.

Biblioteka, restauracja, klub studencki, katedra socjologii — to trwałe pomniki pracy poprzedniego prezydenta, naszego starego przyjaciela dra A. O'Rahilly, genialnie wszechstronnego, matematyka, fizyka, filozofa, działacza politycznego spod znaku Sinn Fein, posła do Dail, delegata Irlandii do M.O.P., pioniera oświaty „za murami“, obecnie zaś księdza, który żegnając uniwersytet mówił: „ Nie chciałem nigdy żyć w akademickiej izolacji. Chciałem brać udział w życiu narodowym i społecznym...“

Odczyt odbył się w Dairy Science Theatre. Przewodniczył młody profesor matematyki i statystyki, następca Atkinsa jako kwestor, T. M. O'Ciarrdha (czytaj Carey). Odpowiadali: prof. J. Hogan, znawca komunizmu i prof. Denis Gwynn, inicjator odczytu i propagator przyjaźni polsko-irlandzkiej.

KOCHAJMY SIĘ...

Przyjęcie w Domu Polskim zorganizowane z okazji odczytu było imponującym dowodem przyjaznych stosunków i pozycji Polaków. Wśród gości tłoczyli się profesorowie: Carey (registrar), Pender i Gwynn (historia), O'Donowan (dziekan medycyny), Saunders, Macconaill, Cannon i Grimes, (medycyna, anatomia, fizjologia, bakteriologia), Cuilleanain (literatura), kanonicy Bastible, Fehilly i Flanagan, senatorka Dowdall i małżonki posłów, lekarzy itp. Lord Mayor i prezydent U.C.C. zawiadomili, że (z żalem) nie mogą przyjść.

Taki sam nastrój na „lampce whisky“ po odczycie i na przyjęciu u Mrs. W. J. Dowdall, (przyjaciółka de Valera y), w eleganckim „Carigdur“, gdzie prezydent Izby Przemysłowo-Handlowej J. C. O'Connor mówił o tym, że Irlandia będzie musiała zapraszać wykwalifikowanych cudzoziemców dla rozbudowy swej ekonomii, rolnictwa i przemysłu.

Śniadanie u prof. D. Gwynna w ślicznym domku pełnym pamiątek, było wycieczką w historię Irlandii i dramatycznych walk o wolność. Na sztychu przedstawiającym posiedzenie parlamentu w Dublinie w XVIII wieku, pokazał gospodarz swego przodka po kądzieli O'Briena, z prastarego rodu dawnych królów („high kings“) Irlandii; syn tego protestanta i kolaboranta został... powieszony przez Anglików za powstanie. Prof. Gwynn jest m. in. specjalistą w zakresie 1500-letniej (!) historii Corku — „Corcaig“ (mokradło). Okupacyjny statut angielski (Penal Laws) zakazywał Irlandczykom budowania szkół, kościołów i warsztatów; dziś na miejscu, gdzie w końcu VI wieku św. Finbarr założył szkołę, wznosi się U.C.C., a sami tubylcy żartują, że kościołów jest za dużo. Na czoło przemysłu miejscowego wybija się produkcja nylonów i bielizny.

U. C. D. I DUBLIN

Amfiteatr University College Dublin był pełen; reporterzy z „Irish Press“ i „Irish Independent“ czekali; prelegenta wprowadził prezydent U. C. D., prof. Michael Tierney, K.S.G., M. A., D. Litt. (filologia klasyczna). Przewodniczył rev. Aubrey Gwynn, S.J., M. A., B. Litt., profesor historii średniowiecznej, dziekan wydziału humanistycznego. Notaki w prasie dały okazję do obszernych listów, zamieszczonych w obu czołowych dziennikach, gdzie zostały wyłuszczone specjalne zadania wolnych Polaków w walce z dywersją reżymu oraz rola Ośrodka Wydawniczego „Veritas“ na emigracji i wobec Kraju.

Wizyta u prezydenta Tierney wykazała przyjazny stosunek i gotowość pomocy w organizowaniu polskiego ośrodka studenckiego, co jednak komplikuje fakt malejącej liczby studentów (U. D. C. — 10, prywatne College of Surgeons — poniżej 20, angielski Trinity College — 18).

W pałacu arcybiskupim dyskutowano sprawy akcji pomocy dla działalności katolickiej polskiej na wygnaniu. Arcybiskup Dublina McQuaid jest potęgą w sprawach publicznych, jako prymas republiki irlandzkiej, którą to godność dzieli z kardynałem d'Alton, arcybiskupem Armagh, prymasem całej Irlandii (wraz z Ulsterem).

Zainteresowanie sprawami polskimi duże. Catholic Truth Society of Ireland, wielka fabryka znakomitej popularnej „bibuły“ katolickiej przy Lower Abbey St., zamówiła broszurę o położeniu Kościoła w Polsce. Ciekawą ilustracją zasięgu światowego irlandzkiej akcji wydawniczej jest fakt, że z kilkunastotysięcznego pierwszego nakładu każdej broszury kilkaset egzemplarzy automatycznie idzie do skupisk irlandzkich w Ameryce, południowej Afryce, Australii i Nowej Zelandii.

POLSKA NIEDZIELA

Dzięki gościnności pp. Wiesławowstwa Pisarczyków nie tylko poznałem ten polsko irlandzki dom, ale zostałem także doskonale zorientowany w stosunkach dublińskich, zwiedziłem uroczą kaplicę Dublina, wzgórza z widokami na „Głowę cukru“, Howth i Dun Laoghaire (Dunleary), Glencree, wioskę Ennis Kerry, Killiney Bay; w górach spotkaliśmy — prawdziwie po irlandzku — brykającą gromadę seminarzystów w pobliżu ponurych ruin „Klubu diabła“. Wieczór spędziliśmy w domu pp. Józefostwa Oślizloków, którego gospodarz, b. student, a potem wykładowca U.C.C., jest chlubą irlandzkiej Polonii, jako doradca ekonomiczny Centralnego Banku Irlandii!

„EGZYSTENCJALIŚCI“ Z TRINITY

Udogodnienia techniczne oraz kontakt z kolorowym i szumiącym środowiskiem międzynarodowym w Trinity College zawdzięczam pp. Janowi Kamińskiemu i Ryszardowi Kozubowskiemu, prezesowi Association for International Affairs. Zapewnili mi mieszkanie w rosyjsko-irlandzkim domu pp. Poppe. Walerian Poppe, student geologii, do 1943 roku mieszkał w Leningradzie, a więc też nadzwyczaj ciekawie opowiadał o młodzieży sowieckiej: jedzie do Stanów do stryja, wybitnego uczonego. Zapewnili mi transport: czerwony samochód kierowany przez studenta ekonomii Kumar Shri Balwantsinhji Arjuninhji Jadeja (czytaj Brian). Zorganizowali „social“ w prywatnej „melinie“, gdzie w różnorasowym i różnoświatopoglądowym gronie sprowadzaliśmy do absurdu bezideowość i bierność Zachodu, wobec zagrożenia sowieckiego. Na tym wieczorze spotkałem również sympatyczne grono (bynamniej nie „egzystencjalne“) studentek i studentów polskich (me-

(Dokończenie na str. 2)

PROBLEMY ST. ZJEDNOCZONYCH

O równouprawnienie Murzynów

Walka o pełne równouprawnienie Murzynów w Stanach Zjednoczonych, w szczególności o zniesienie rozdziału rasowego we wszystkich dziedzinach życia, doprowadziła do ostrych nieraz konfliktów między władzami związkowymi a władzami poszczególnych stanów. Zaczęło się od rozstrzygnięcia Najwyższego Sądu Związkowego z dnia 17 maja 1954 roku w sprawie zniesienia rozdziału rasowego w szkołach; po rozstrzygnięciu tym na jesieni 1955 roku wydane zostały rozporządzenia wykonawcze. Dnia 7 listopada 1955 r. Sąd Najwyższy orzekł, że rozdział rasowy w parkach publicznych, pływalniach i publicznych placach golfowych sprzeczny jest z konstytucją. Wreszcie 28 listopada tegoż roku Sąd orzekł, że sprzeczna z prawem jest segregacja rasowa w kolejach i autobusach komunikacji międzystanowej, a także w poczekalniach. Wedle doniesienia „New York Timesa“ następujące ze stanów południowych postanowienia te wprowadziły w życie: Maryland, Zachodnia Wirginia, Kentucky, Missuori i dystrykt Columbia. Siedem stanów odłożyło „integrację“ albo przeprowadziło ją tylko częściowo: Delaware, Północna Karolina, Tennessee, Floryda, Arkansas, Louisiana i Texas. Pięć stanów południowych: Alabama, Georgia, Missisipi, Południowa Karolina i Wirginia, które mają okręgi liczące wśród swego zaludnienia do 80% czarnych, uznały rozstrzygnięcie Najwyższego Sądu Związkowego co do szkół, w których łącznie uczy się 10 milionów białych i 2 i pół miliona czarnych dzieci, za nieważne i nie istniejące. Stany te zdecydowane są obejść to rozstrzygnięcie. Tak np. w Wirginii z początkiem stycznia rb. rząd związkowy został upoważniony do zbudowania systemu subwencjonowanych przez państwo szkół prywatnych, w których dzieci białe i czarne pobierałyby naukę osobno. Podobnie publiczne parki i place do gry w golfa przeniesione zostały na własność prywatną. Jest zresztą rzeczą wątpliwą, cy stworzenie sieci subwencjonowanych szkół prywatnych powiedzie się, gdyż wymaga to znacznych nakładów finansowych, a stany południowe nie są tak zasobne jak uprzemysłowiona północ.

Walka, jaka rozgorzała między izbami ustawodawczymi stanów południowych a władzami związkowymi w Waszyngtonie, doprowadziła na tle sprawy murzyńskiej do odnowienia się starego historycznego konfliktu między związkiem a wchodzącymi w skład jego stanami, oraz między stanami północnymi a południowymi. Wedle poglądów stanów południowych, władze związkowe nie mają w żadnej mierze prawa przywłaszczania sobie kompetencyj, które im nigdy nie były obiecywane przez poszczególne stany w chwili powstania związku. Manifest, wydany 11 marca bież. r. z podpisami 19 senatorów i 81 członków Izby Reprezentantów — samych zwolenników Partii Demokratycznej z 11 stanów południowych z wyjątkiem jedynie 2 republikanów ze stanu Wirginia — oświadcza uroczyście, że Najwyższy Sąd Związkowy nadużywa orzecznictwa prawnego. Podpisani pod manifestem zapowiadają, że będą walczyli wszystkimi prawnymi środkami o zniesienie rozstrzygnięcia w sprawie szkolnej.

Do pogłębienia przedziału pomiędzy Południem a Północą przyczynia się niepozbawione obłudy stanowisko Północy, gdzie wprawdzie segregacja ras nie oparta jest na ustawach i przepisach, ale w praktyce bardzo jest rozpowszechniona, gdyż Murzyni ze względów już choćby gospodarczych, nie mieszkają w „białych“ dzielnicach, tak że w szkołach dzielnicowych problem „integracji“ w ogóle nie istnieje.

Stanowisko Kościoła katolickiego w tych sprawach jest jasne. Jak to sformułowało kilka miesięcy temu radio watykańskie, należy znieść rozdział rasowy nie tylko celem posłuchu wobec rozstrzygnięcia Sądu Związkowego, ale i dlatego, że będzie to oznaczało postęp w dziedzinie ludzkiej i religijnej. Z tego powodu zniesiono też rozdział rasowy we wszystkich katolickich szkołach Stanów Zjednoczonych. Biskupi amerykańscy zdecydowani są bronić całym swym autorytetem rozstrzygnięcia Sądu Związkowego. Kościół w Stanach Zjednoczonych stosuje w tej sprawie umiarkowanie i energię — umiarkowanie dlatego, że chodzi tu o przezwyciężenie nastrojów głęboko zakorzenionych, a energię dlatego, że spodziewa się, iż zniesienie rozdziału rasowego w szkołach będzie miało ogromne znaczenie psychologiczne.

Jak głęboko zakorzenione są dotychczasowe nastroje, świadczą bolesne, choć rzadkie fakty nawet wśród ludności katolickiej. Tak np. w archidiecezji Nowego Orleanu w jednej z parafij biali katolicy uniemożliwili księdzu Murzynowi odprawienie Mszy św. Arcybiskup Joseph Rummels ukarał gminę interdyktem. Podobne fakty zaszły w stanie Louisiana. W gminie Erath trzy kobiety pobiły nauczycielkę, która udzielała nauki katechizmu zarówno białym, jak czarnym dzieciom. Biskup Jules B. Jeanmard obłożył te kobiety ekskomuniką. Dekret polecił przybić na bramie kościoła, w którym na krótki czas przed tym przeszkodzono na tym samym tle pewnemu duchownemu w udzielaniu nauki katechizmu. Biskup zarządził, że w razie powtórzenia się takiego wypadku kościół będzie zamknięty. Po pewnym czasie biskup Jeanmard zniósł ekskomunikę, winni bowiem wyrazili skruchę.

Niewątpliwie i w dalszych tego rodzaju wypadkach władze kościelne będą wykazywały tę samą stanowczość, chodzi bowiem o sprawy, w których nie może być kompromisu.

NOTATKI IRLANDZKIE

(Dokończenie ze str. 1)

dycyna, ekonomia, historia i języki), wsrod ktorych istnieje Koło Zrzeszenia Studentów i Absolwentów, Koło Starszo-Harcerskie i Skarb Narodowy.

PRZED PRZEKROCZENIEM GRANICY

Radość i duma z posiadania niepodległego państwa mieszają się u Irlandczyków z poczuciem, ze nie wszystko idzie jak należy. Młodsi narzekają po trochu na dziedzicow oswobodzicieli, ktorzy z tytułu zasług ojcow dochodzą do władzy. Kłopoty polityczne, oscylowanie między partyjnictwem (obecnie rządząca koalicja) a silnym rządem (de Valera dzis w opozycji), przypominają nieco przedwojenną Polskę w miniaturze. Potężnie ingeruje najstarsza organizacja — kleru, ktorej przywodcy obawiają się gwałtowniejszych przemian politycznych. Ambicje narodu o bogatej imaginacji, ktorego większość żyje za oceanami, ścierają się z dokuczliwymi problemami lokalnymi; dominujące sensacje w czasie mego pobytu: roztrząsanie mądrych, o światowej skali wystąpień Episkopatu przeciwko komunizmowi; kontrowersja namiętna dokoła potępienia przez Episkopat „I.R.A." (Irish Republican Army — bojownicy o wyzwolenie „sześciu hrabstw", flirtujący z terrorem), propaganda „Fish Week" — zwiększenia konsumpcji ryb, których ludność nie lubi. Orientację utrudnia paradoksalne pomieszanie w życiu publicznym wzorow angielskich z irlandzkim „folklorem ustrojowym". Pokutuje zakorzeniona nieufność do władzy i jej organów. Język iryjski jest nadal raczej dekoracją, ale czytelnik prasy utyka na efektownym, niezrozumiałym alfabecie i języku oraz potrzebuje słownika dla zrozumienia potocznie już używanych tytułow czy nazw partii: Oireachtas to parlament, jego izby — Dail i Seanad; taoiseach (przywódca) i tanaiste — premier i wicepremier; do koalicji rządowej wchodzą: Fianna Gael (Partia Irlandii), z niej Costello — premier i Cosgrave — minister spraw zagranicznych; Clann na Poblachta (Partia Republikańska), której leaderem jest znany „europejczyk" Sean Mc Bride; Labour Party i Clann na Tamlairn (Partia Farmerów); w opozycji: Fianna Fail (Partia Przeznaczenia) największa Partia de Valery, piastującego poza tym stanowisko kanclerza N.U.I. (National University of Ireland), którego członami są „college'a" w Dublinie, Corku i Galway; istnieje także np. ciekawy ruch Muintir na Tyre — organizowanie samopomocy lokalnej, który uczy Irlandczyków trudnej sztuki pracy zespołowej.

Zdolności wrodzone i inteligencja narodu irlandzkiego na pewno uzasadniałyby wysiłek, aby sięgnąć do chwalebnej tradycji „wyspy świętych i apostołów kultury" z najwcześniejszego średniowiecza i rozbudowywać w kraju, pozbawionym bogactw naturalnych, „przemysł intelektualny" o zasięgu międzynarodowym.

„SZEŚĆ HRABSTW"

Między Dublinem a Belfastem nie ma odczuwalnej granicy dla pasażera, nie ma kontroli paszportu, ani celnej. Ta granica krwawi w sercach Irlandczykow i tkwi w obawach „Ulstermenów" — protestantów. Jest za to różnica „ludzkiego krajobrazu": zabudowania brzydsze, ale solidniejsze, autobusy i skrzynki pocztowe czerwone nie zielone, nie ma napisow iryjskich. Granica ma swoje paradoksy. „Ulstermeni", przeważnie ziemianie i kapitaliści, nie chcą połączenia, ale obawiają się angielskiego „welfare state", podatków i socjalizmu; Irlandczycy żartują, że ustalenie się rządów Labour Party w Londynie może skruszyć opór Belfastu i monarchistyczna, protestancka północ, w trosce o kieszeń i swobodę, schroni się w liberalnej katolickiej republice zjednoczonej Irlandii. Inny paradoks, to obawa północnych katolików, przyzwyczajonych do porządku i dyscypliny w Ulsterze, przed „happy go lucky" urokiem południa, zabawami niedzielnymi, kieliszkiem i rozwichrzoną dyskusją.

BELFAST

Na dworcu spotyka mnie Francis Hanna, M.P. (członek parlamentu płn. irlandzkiego, oczywiście z opozycji panirlandzkiej). Ten szermierz zjednoczenia jest wziętym i zamożnym adwokatem, twardym działaczem politycznym i społecznym, przemiłym człowiekiem rodzinnym i żarliwym katolikiem. Wspaniałym samochodem jedziemy do ślicznego domu w Fort William Park. Urocza Mrs. Hanna, matka trojga dzieci, tkwi głęboko w robocie społecznej. Opowiadania o „gerrymandering" — szykanach przeciwko większości irlandzkiej stosowanych przez Ulstermenów w walkach wyborczych, dają świadectwo gorszącej polityki przemocy.

Odczyt w Aquinas Hall, Windsor Park, był organizowany przez Cardinal Newman Society, stowarzyszenie grupujące studentów katolickich Queen's-University i seniorów. Przewodniczy prezes, Fergus Gilligan; publiczność (300 osób) żywo i przyjaźnie reaguje. Po odczycie przyjęcie w Catholic Chaplaincy (14 Fitzwilliam Str.), w rezydencji naszego przyjaciela rev. M. P. Kelly, pierwszego katolickiego kapelana uznanego przez protestancki uniwersytet (500 katolików na 2000 studentów).

Z ks. Kelly objeżdżamy miasto, (którego najuboższe dzielnice pozostawiono katolikom), i wzgórza okoliczne; z dala widnieje klasztor założony przez św. Patryka, patrona Irlandii. Ks. Kelly przekazuje zapewnienia biskupa Belfastu Mgr. D. Mageean, że popierać będzie starania o pomoc dla polskiej roboty katolickiej.

Poseł Hanna wprowadza mnie na posiedzenie Stormontu — parlamentu. Lojalnie, wraz z posłami pan-irlandzkimi, opuszczam ceremonialne otwarcie przez gubernatora Lorda Wakehurst. Premier północnej Irlandii Lord Brookeborough kończy swoją odpowiedź na mowę tronową atakiem na „głuche uszy" opozycji. Nasuwa się wrażenie, że sytuacja małej grupki posłów — protagonistów zjednoczenia wobec przygniatającej większości Ulstermenów przypomina sytuację posłów polskich w parlamencie pruskim z okresu rządów „liberalnych".

Pożegnaniem Irlandii jest zwiedzenie kościoła Our Lady of Clonard z cudownym obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Redemptoryści prowadzą od dwu pokoleń przy kościele konfraternię „Clonard Holy Family". Mr. Hanna, który znajduje czas, by być czynnym „dzielnicowym" tej ogromnej organizacji, pokazuje z dumą archiwum i po „amerykańsku" prowadzoną kartotekę i ewidencję tysięcy członków oraz system dozoru udziału w obowiązkowych spowiedziach, Komuniach św. i nieustającej nowennie. Zatrzymujemy się przed ołtarzem św. Gerarda Majella, redemptorysty, zmarłego w roku 1755, który „uciekł z domu, żeby zostać Świętym" i został nim w skromnych zawodach ogrodnika, kucharza, krawca, cieśli, stróża i zakrystiana; jest patronem robotników, rzemieślników i dobrej spowiedzi, a pp. Hanna zawdzięczają jego wstawiennictwu życie dziecka.

Na drogę dostaję egzemplarz nowenny (wydanie 19 — 530.000 egz.) i ulotkę „No Human Defence Against H-Bomb. Ensure Heavenly Defences in Holy Family Confraternity. Join!"

S. Grocholski

NA DROGACH WSPÓŁCZESNYCH NAWRÓCEŃ (XIII)

DOM LOU

15 stycznia 1949 roku w Bruges zmarł sędziwy opat benedyktynskiego klasztoru ojciec Dom Piotr Celestyn Lou Tseng Tsiang z pochodzenia Chińczyk, były dyplomata chiński i wybitny mąż stanu.

Urodzony w Szanghaju w roku 1871 w rodzinie wyznawców Konfucjusza pozostał do końca życia wierny zasadom moralnym wyniesionym z domu. Wychowano go w pogardzie dla pieniędzy, w poszanowaniu ludzkiej godności, w cierpliwym znoszeniu niepowodzeń. Gdy w ósmym roku życia stracił matkę, jedyną ostoją stał mu się ukochany ojciec, który powierzył mu tajemnicę powodzenia ucząc zasady: we wszystkim zawierz Niebu i nie przywiązuj wagi do wartości pieniądza.

Nowe prądy, które pod koniec wieku XIX płynęły z Zachodu, dotarły także do Szanghaju i były przyczyną, że stary Dom Lou przyjął wraz z synem chrzest z rąk misji protestanckiej. Mały został wkrótce uczniem w szkole języków obcych przygotowując się do zagranicznej służby dyplomatycznej. Wykazywał duże zdolności naukowe i lingwistyczne i już w 22 roku życia został tłumaczem ambasady chińskiej w Petersburgu.

W owym czasie przedstawicielem Chin na placówce dyplomatycznej w carskiej Rosji był mąż stanu Shu King-Shen, który stał się prawdziwym opiekunem i nauczycielem młodego Dom Lou. A czasy szły ciężkie...

Trzeba było niezwykłych charakterów, by móc przeprowadzać reformy często z narażeniem własnego życia. Ambasador Shu oddał swoje życie dla kraju, gdy w czasie powstania Bokserow (1900) osądzono go jako zdrajcę i stracono w Pekinie, aby w parę miesięcy później rehabilitować jego pamięć.

Młody Dom Lou staczał w Petersburgu walkę z własnym sumieniem, aż znalazł rozwiązanie: pomścić mistrza, pozostając wiernym jego ideałom.

W czasie tak przełomowym Opatrzność postawiła na jego drodze młodą Belgijkę, córkę oficera, która w Petersburgu dawała lekcji języka francuskiego. Zakochani pisywali do siebie listy pełne głębokiego uczucia i niezwykłej delikatności i zrozumienia. Trzeba było dwóch lat, by pokonać wszelkie uprzedzenia rasowe, polityczne i wyznaniowe. W połowie lutego 1899 roku o. Lagrange, przyjaciel obojga narzeczonych, pobłogosławił ich ślub w kościele św. Katarzyny (panna młoda była katoliczką).

Młode małżeństwo uzupełniało się i rozumiało nadzwyczajnie. Pani Berta Lou z domu Bovy szanowała pracę męża i rozumiała, jak ciężkie obowiązki spoczywały na jego barkach. Dom Lou okazywał zonie wiele delikatności i szacunku dla jej przekonań religijnych. Przed zawarciem małżeństwa przyrzekł jej wychowywać dzieci w zasadach wiary katolickiej.

W roku 1905 Dom Lou został radcą ambasady chińskiej. Wtedy po raz pierwszy wykazał, ile ma siły woli i jak mocny charakter, gdy przeciwstawił się ustawie z roku 1644, która pod karą śmierci nie pozwalała Chińczykom na obcinanie warkocza. Dom Lou zgolił głowę narażając swoją karierę, ba nawet życie w walce z przesądami.

W roku następnym został mianowany posłem w La Havre z misją założenia tam samodzielnej placówki dyplomatycznej. Praca w La Havre pochłaniała państwo Lou bez reszty. W roku 1907 po raz pierwszy Chiny były reprezentowane na międzynarodowej konferencji pokoju, na której narody europejskie chciały je zepchnąć do roli trzeciorzędnego państewka.

W roku 1911 został Dom Lou ambasadorem i powrócił do Petersburga. 31 grudnia tegoż roku nastąpiła zmiana ustroju w Chinach, wkrótce dynastia ustąpiła parlamentowi, a Dom Lou jednogłośnie został obwołany ministrem spraw zagranicznych.

Właśnie w Petersburgu w tym trudnym okresie życia, gdy Dom Lou był poniekąd odpowiedzialny za zmiany ustrojowe wielkiego państwa chińskiego, następuje głęboki przełom w jego duszy. Powoli dojrzewa myśl o reformie własnego życia, uporządkowaniu własnych przekonań. Zwraca się wreszcie z prośbą do ks. Lagrange, który błogosławił jego małżeństwu, by przyjął go do Kościoła katolickiego.

O swoim nawróceniu mówi później, że nie było ono właściwym nawróceniem, lecz powołaniem do lepszego, głębszego, pełniejszego życia w Chrystusie i dla Chrystusa. 22 listopada 1911 roku zostaje ochrzczony i przystępuje do pierwszej Komunii św., a 5 kwietnia następnego roku otrzymuje sakrament Bierzmowania. W oparciu o nową wiarę staje do walki o nowe Chiny.

Przeprowadza reformy w polityce zagranicznej i opierając się o Rosję przeciwstawia się potędze japońskiej. W latach 1912-15 pełni funkcję premiera. Szczególnie ważną rolę odgrywa w roku 1917 w czasie układów w Wersalu. W tym samym roku skłania swój rząd do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Watykanem. Po raz pierwszy w dziejach Chiny kłonią głowę przed papieżem.

Po dwudziestu kilku latach ciężkiej służby dla kraju w roku 1920 Dom Lou wraca do ojczyzny, by w ciszy domowego ogniska resztę życia poświęcić pracy charytatywnej wśród rodaków. Niestety, w krótkim czasie pani Lou zapadła poważnie na zdrowiu i oboje małżonkowie musieli przenieść się do Szwajcarii. Rząd chiński, chcąc wykorzystać obecność pana Dom Lou w Europie ofiarował mu placówkę dyplomatyczną w Paryżu. Nie przyjął tej godności, całkowicie zaabsorbowany chorobą żony.

Dnia 12 lutego 1924 roku państwo Lou obchodzili srebrne gody. Na obrączce platynowej, którą ofiarował tego dnia ukochanej żonie, kazał wyryć trzy litery P: „Prière, Patience, Pénitance!" (modlitwa, cierpliwość, pokuta) charakteryzujące surowość ich życia i program religijny, jaki chcieli wypełnić tutaj na ziemi.

W czasie pobytu państwa Lou w Szwajcarii zostały wydane rozmyślania i pamiętniki Elżbiety Leseur, ogłoszone drukiem przez jej męża, który po śmierci żony wstąpił do zakonu dominikanów. Dom Lou z wielkim wzruszeniem czytał je żonie, widząc w niej właśnie powtorne wcielenie Elżbiety Leseur, a ona nie znajdowała przeszkód, by po jej śmierci mąż poszedł śladami o. Leseur.

W niespełna dwa lata później pani Dom Lou umarła w Bernie w kwietniu 1926 roku i została pochowana na cmentarzu w Brukseli.

Wkrótce po śmierci żony Dom Lou zapukał do furty benedyktyńskiej w Bruges z prośbą o przyjęcie do zakonu. Dnia 4 października 1927 roku znalazł się w nowicjacie w gronie młodzieniaszków. Z wielką pokorą musiał uczyć się nowego życia, a przede wszystkim nieznanej sobie łaciny. Czuł się, jak małe dziecko, które stawia pierwsze kroki, lecz które z całą ufnością zbliża się do swej matki.

Po ukończeniu nowicjatu został przyjęty w poczet braci zakonnych nie czując się na siłach iść dalej, by otrzymać święcenia kapłańskie. Ale czytajmy dalej. W roku 1933 delegacja chińskiego korpusu dyplomatycznego (sami poganie) przysłała mu kielich mszalny z prośbą, by jednak poszedł krok dalej i postarał się o otrzymanie święceń, bowiem Chiny byłyby bardzo zawiedzione, gdyby pozostał tylko mnichem. Wtedy zabiera się do nadludzkiej wprost pracy mimo swoich 60 lat życia i tylu lat ciężkiej służby dyplomatycznej. Robi to nie dla siebie, lecz dla swojej ojczyzny i dla Kościoła, a wreszcie dla chińskiego Episkopatu.

W dzień św. Piotra i Pawła roku 1935 mgr. Costantini, pierwszy delegat apostolski w Chinach przybył z Rzymu, by wyświęcić Dom Lou na księdza katolickiego. Wśród księży uczestniczących w tej podniosłej uroczystości nie brakło też ojca dominikanina Leseur.

Jeszcze długą drogę musiał odbyć ojciec Dom Lou zanim zrozumiał prawdę najgłębszą, że Bóg jest nie tylko Panem i najwyższym Władcą stworzenia, lecz także najmiłosierniejszym Ojcem. Dopiero po tej ewolucji duchowej utracił lęk przed odprawianiem Mszy św. Czuł tak silnie świadomość swej niegodności w stosunku do Stworcy, że każde zbliżenie do ołtarza napełniało go niepojętym strachem.

Ojciec Dom Lou mimo swoich lat pozostawał zawsze pełen energii i zapału, zawsze gotowy do poświęceń dla ojczyzny i Kościoła, zawsze wierny swym ideałom, zawsze pełen nadziei w opiekę Boga nad światem i ludźmi. Czekał go jeszcze trud niemały dźwigania godności opata benedyktynów, gdy w roku 1946 z rąk nuncjusza papieskiego w Belgii otrzymał tę najwyższą godność zakonną.

Tą drogą lata wypełnione po brzegi pracą apostolską i pisarską i jakże trzeba podziwiać tego starca w późnych latach siedemdziesiątych, gdy z młodzieńczym zapałem pisze swoje prace na tematy tak podstawowe, jak stosunek konfucjanizmu do Kościoła katolickiego w „La Decouverte del'Evangile" lub wypowiedzi o ruchu komunistycznym w Rosji, która zagrażała swą potęgą Chinom, jak dawniej Japonia. Był zdania, że Rosja Sowiecka prowadzi w dalszym ciągu tradycyjną politykę imperializmu rosyjskiego.

Ojciec Dom Lou umarł w Bruges 15 stycznia 1949 roku po ciężkiej i wyczerpującej chorobie. Niespełna w miesiąc po jego śmierci dr Jan Wu, inny konwertyta chiński, który w tym czasie był przedstawicielem Chin przy Watykanie wygłosił w Rzymie odczyt na temat życia duchowego ojca Dom Lou. Głębokie ujęcie tematu dało poznać słuchaczom, jak niezwykłą osobowością był zmarły opat i równocześnie dyplomata chiński i mąż stanu.

Niewyczerpanym źródłem dla poznania duchowych ewolucji ojca Dom Lou są prace pozostawione przez niego, a przede wszystkim jego wspomnienia i myśli. Podziwiać należy, że tak rożne światopoglądy, jak konfucjanizm chiński i doktryna katolicka mogły w ciągu jednego żywota ludzkiego urobić charakter człowieka na modłę wielkiego opata ojców benedyktynow.

Niezbadane są wyroki Opatrzności...

H. Z.

*) Dom Pierre Celestin Lou Tseng - Tsiang: „Souvenirs et Pensees".

**) De Jean Wu Ching - Hioung: „Dom Lou, Sa Vie spirituelle", 1949.

KATOLICYZM W INDIACH

Rozbujały w chwili obecnej nacjonalizm narodów azjatyckich sprawia, że niechętnie widziany jest tam napływ zagranicznych misjonarzy. Indie co prawda nie wprowadziły żadnych obostrzeń dla wjazdu misjonarzy z krajów Commonwealth'u, same bowiem do niego należą, natomiast pozwolenia na wjazd misjonarzy chrześcijańskich z innych krajów udzielane są zasadniczo tylko w wypadku, gdy potrzebni są oni do rozbudowy urządzeń kulturalnych, socjalnych czy sanitarnych kraju. Rozstrzygnięcie w każdym wypadku należy do rządu indyjskiego i nie brak w tym zakresie niespodziewanych oporów. Gorzej jest w Birmie, która pozwala tylko na wypełnianie przez nowych przyjeżdżających misjonarzy luk, spowodowanych przez wymieranie misjonarzy czynnych już od dawna w kraju.

Najgorzej sytuacja przedstawia się w Indonezji, która już od lat stosuje system odmowy wjazdu, od którego zachodzą tylko nieliczne wyjątki. Najkorzystniej natomiast ustosunkowuje się do przyjazdu misjonarzy Pakistan, związany z Zachodem układami politycznymi i wojskowymi, ale i tu wobec nastrojów ludności mahometańskiej mogą zajść zmiany na gorsze. Cejlon, należący również do Commonwealth'u, nie wprowadził do tej pory żadnych ograniczeń dla działalności misyj, ale agresywny buddyzm, nie cofający się nawet przed terrorem, wprawia rząd w coraz trudniejsze położenie, gdyż czynniki rządzące muszą liczyć się z tą presją.

Jeśli położenie w Indiach jest najlepsze, to dlatego, że liczba powołań kapłańskich jest tam szczególnie duża i liczyć się należy z tym, że w niedługim czasie Indie będą zupełnie samowystarczalne w zakresie przyrostu duchowieństwa. Na ogólną liczbę 5.500 księży już obecnie 68% stanowią tubylcy. 10 wielkich seminariów, które stale są przepełnione, umożliwia corocznie wyświęcanie 200-250 księży. Akademia Papieska w Puna liczy 400 studentów teologii różnych narodowości. Jednym z jej celów jest dostosowywanie wykształcenia teologicznego do specjalnych warunków, kultury i stylu życia kraju. Jezuici liczą w swych szeregach już ponad 1000 Hindusów i coraz bardziej są w tej sytuacji, że mogą dostarczać Akademii w Puna wykwalifikowanych sił krajowych, także w charakterze profesorów. Jeszcze w roku 1948 arcybiskup Pothacamury z Bangalore uskarżał się w „Bulletin des Missions" (Bruges), że seminarzyści w Indiach wychowywani są całkowicie według wzorów europejskich, nie tylko w formach zewnętrznych, ale i duchowo, tak że stają się Europejczykami o brunatnej skórze. Wiele zmieniło się od tego czasu. W wychowaniu duchowym seminarzystów kładzie się obecnie wielki nacisk na obyczaje kraju, prawo cywilne poszczególnych jego prowincji, systemy religijne Indii, ich historię kościelną. Ostateczne ustalenie systemu nauczania stanie się możliwe dopiero po podziale kraju na państwa związkowe, a tym samym po rozgraniczeniu obszarow etnicznych i językowych.

Północ Indii zależna jest, jeśli chodzi o „narybek" duchowieństwa, od południa. Indie południowe obfitują w powołania kapłańskie w tym stopniu, jak żaden kraj Dalekiego Wschodu, a być może żaden kraj świata. Napływ zgłoszeń do seminariów jest tak ogromny, że 70% zgłoszeń musi być odrzucanych. Obszar Malabaru, liczący 1.800 tysięcy wiernych, przewyższył już bodaj w tej dziedzinie Holandię. Z górą 400 księży z tego obszaru pełni już działalność misyjną poza Malabarem, a 750 seminarzystów przygotowuje się do podjęcia tej działalności. Wedle obliczeń Kościoła obrządku syryjsko - malabarskiego, poza granicami swej ściślejszej ojczyzny czynnych jest już w pracy apostolskiej 3.200 mężczyzn i kobiet z Malabaru. Obrządek syryjsko - malabarski jest tam ogólnie przyjęty, toteż tym bardziej podziwiać należy tych ludzi, że dla dostosowania się do warunków w innych stronach chętnie przyjmują obrządek łaciński.

Poza Malabarem także część Indii południowych, gdzie dominuje obrządek łaciński, wykazuje pomyślny rozwój, jeśli chodzi o przybytek księży i sił misyjnych. Widoczne jest to szczególnie w Goa, która dostarcza znacznej liczby księży Indiom północnym i środkowym. Także w częściach, mówiących językiem Tamil, położenie jest pod tym względem korzystne.

Czynnikiem ujemnym jest w Indiach, jak i gdzie indziej, oddziaływanie zachodniego materializmu, zwłaszcza po miastach i wśród warstw wykształconych. Spowodowało ono już lekki spadek powołań kapłańskich i zakonnych.

Z kół katolickich hinduskich padła świeżo inicjatywa, by Kościół Indii stworzył swe własne obszary misyjne w Afryce. Oczywiście w grę tu wchodziliby przede wszystkim, ze względu na ilość sił rozporządzalnych, katolicy obrządku syryjsko-malabarskiego. Nasuwa to trudności, gdyż trudno byłoby obok istniejących diecezji afrykańskich obrządku łacińskiego zakładać diecezje obrządku syryjskiego. Ale przedstawiciele Kościoła syryjsko-malabarskiego wykazali, że dla celów misyjnych gotowi są poświęcić nawet interesy własnego obrządku.

ADAM MICKIEWICZ

PISMA POETYCKIE

(Wydanie emigracyjne w stulecie zgonu)

Stron 830, oprawa płócienna. CENA 30/-

WACŁAW BOROWY

OD KOCHANOWSKIEGO DO STAFFA

(Antologia liryki polskiej)

Stron 430, oprawa płócienna. CENA 30/-

WYSYŁA:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY »VERITAS«

12 Praed Mews, London, W. 2, England

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

O BEATYFIKACJĘ ARCYBISKUPA CIEPLAKA

Generalny postulator sprawy beatyfikacji arcybiskupa wileńskiego Jana Cieplaka, ks. prałat Walerian Meysztowicz, podaje, że proces przygotowawczy beatyfikacji jest na ukończeniu. W Nowym Jorku w rezydencji kardynała Franciszka Spellmana został zakończony proces rogatorialny, kardynał wziął udział w sesji. Akta procesu doręczono ks. prałatowi Franciszkowi Kowalczykowi, proboszczowi parafii Matki Boskiej Różańcowej w Passaic, wicepostulatorowi beatyfikacji, który przesłał je za pośrednictwem delegata apostolskiego w Waszyngtonie do św. Kongregacji Rytów w Rzymie. Proces informacyjny w Nowym Jorku trwał dwa lata. Podobne procesy przeprowadzono w diecezji Paterson, w archidiecezji Newark i w innych diecezjach w Stanach Zjednoczonych. Jeszcze nie jest ukończony proces w archidiecezji waszyngtońskiej.

Działalność charytatywna Stolicy Apostolskiej w czasie wojny. Igino Giordani wraz z mons. Emilio Rossi wydał w firmie Mondadori pracę w języku włoskim: „Życie przeciw śmierci — Stolica Święta dla ofiar drugiej wojny światowej". Książka jest gruntownym wykazaniem nie tylko dla katolików, ale i dla nie-katolików, jak wszechstronna była działalność Stolicy Apostolskiej w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu — dla złagodzenia skutków wojny, której Pius XII mimo najgorliwszych wysiłków nie zdołał zapobiec. Dla przykładu na podstawie wymienionej książki można podać, że w czasie działalności Urzędu Informacyj (Ufficio Informazioni di Vaticano), od września 1939 do czerwca 1947 nadeszło do Watykanu 9.891.497 zapytań w sprawie poszukiwań osób zaginionych itp., wyszło z Watykanu 11.293.511 odpowiedzi. Gdy powstał Urząd Informacyj, pracowało w nim dwoch urzędników Sekretariatu Stanu Jego Świątobliwości, a z biegiem czasu w samym centrum urzędu w Rzymie pracowało 885 osob, nie licząc setek i tysięcy zatrudnionych w Rzymie, w Italii i w całym chrześcijaństwie. Pracowali zakonnicy, zakonnice i świeccy bezinteresownie, często w różnych krajach wśród stawianych im przeszkód. Służba informacyjna objęła swą działalnością kraje Europy i innych części świata. Jak pisze Giordani, działalność ta zapisała jedną z najjaśniejszych stron chwały wszystkich czasów: chwały nie zrodzonej z trupów ludzkich i ruin, lecz chwały złagodzonego bólu, pocieszonych dusz, nasyconych ciał. „Prawdziwa epopeja miłości Boga i bliźniego" — stwierdza „Lector" w swej recenzji na łamach „Osservatore Romano".

„Konferencja św. Pawła". Trzech profesorów katolickiego uniwersytetu „Laval" w Quebeck, Foutiot, Rousseau i Luckquell, wraz z grupą wychowanków uniwersytetu założyło „Konferencję św. Pawła", która powzięła sobie za zadanie umożliwienie ludziom biednym lepszych warunków mieszkaniowych. Konferencja dostarcza urządzeń elektrycznych, mebli, urządzeń higienicznych i sama przeprowadza związane z tym prace.

Ostrzeżenie. Wikariat Rzymu ostrzega w numerze „Osservatore Romano" z 3 czerwca, że książka pod tytułem „Resurrezione di Gesù", która ma wydrukowane Imprimatur Wikariatu Rzymu, nie jest zgodna z tekstem zaaprobowanym przez tenże Wikariat.

500-lecie bulli Kaliksta III. 29 czerwca mija 500 lat od wydania przez papieża Kaliksta III bulli, zwanej bullą modlitw. Od tego czasu dzwony kościelne wzywają w południe wiernych do modlitwy. Bulla wydana była w związku z niebezpieczeństwem zagrażającym chrześcijaństwu ze strony Turków. Było to już po klęsce warnenskiej, a na miesiąc przed zmaganiami pod Belgradem, w czasie których duchem krucjaty był św. Jan z Kapistranu.

Konsekracja biskupia księdza rasy białej przez biskupa rasy czarnej. W sercu Afryki, w Kabgayi, misjonarzowi zgromadzenia ojców białych, ks. Andrzejowi Perraudinowi udzielił sakry biskupiej wikariusz apostolski Nyundo, biskup Bigirumwami. Po raz pierwszy w dziejach Kościoła biskup czarny udziela sakry biskupiej księdzu białemu. Wśród uczestników uroczystości był Mutara Karol Rudahigwa, król Ruandi, katolik, z żoną i królową-matką.

100-letnia rocznica urodzin. Z okazji przypadającej w tym roku 100-letniej rocznicy urodzin robotnika dublińskiego Sługi Bożego Matta Talbota, którego proces beatyfikacyjny jest w toku, prezydent Irlandii Sean T. O'Kelly przypomniał, że już przed godziną 7 rano Matt Talbot czekał przed kościołem św. Józefa na otwarcie drzwi i po otwarciu udawał się przed ołtarz Maryi, a ponieważ o tej porze bywało mało ludzi, zwykł modlić się na głos, jakby mówił do Matki Boskiej. Prezydent obiecał uczynić ze swej strony wszystko dla posunięcia naprzód sprawy beatyfikacji Matta Talbota, któremu — jako ministrant — miał szczęście otwierać rano drzwi do kościoła.

Katalog płyt o tematyce religijnej. UNDA czyli Międzynarodowe Katolickie Stowarzyszenie dla Radia i Telewizji opracowuje i wyda w najbliższym czasie katalog płyt o tematyce religijnej.

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

CZERWIEC — LIPIEC 1956.

LEON KOWNACKI

RYSY NA DOKTRYNIE

Warszawski teoretyk marksizmu - leninizmu, A. Schaff, wyjaśnia w kwietniowym zeszycie „Nowych Dróg", co to jest „kult jednostki". Interpretuje on to pojęcie rozciągliwie, odnosząc je nie tylko do osoby Stalina, lecz także „do wszelkich przejawów wypaczeń dyktatorskich", „przejawów łamania demokracji na rozmaitych szczeblach aparatu partyjnego i państwowego w różnych krajach". Stalin, według autora, zrodził wielu pomniejszych naśladowców, otaczających się nimbem nieomylności i rządzących metodą „komenderowania i administrowania". Podobna metoda rządzenia jest wprawdzie wygodna, gdyż oszczędza kierownictwu trudu przekonywania, nie da się ona wszakże pogodzić z centralizmem demokratycznym, stanowiącym podstawę organizacji partii. Centralizm demokratyczny oznacza, że „instancje niższe w partii są związane uchwałami instancji wyższych i mniejszość jest związana uchwałą większości", lecz to tylko jedna strona tego pojęcia. Drugą jest przymiotnik „demokratyczny", którego znaczenie autor wyjaśnia jako obowiązek partii „utrzymywania więzi z masami". Temu właśnie obowiązkowi przeczy kult jednostki, cechą bowiem podstawową takiego kultu jest uznanie w sposób dogmatyczny czyjejś nieomylności, prowadzące do pojmowania prawdy „nie jako zgodności z obiektywną rzeczywistością, lecz z czyimś stanowiskiem".

KONSEKWENCJE

Nikt nie jest nieomylny — oświadcza autor — nie może pretendować do nieomylności żadna instancja partyjna, od komitetu powiatowego do komitetu centralnego włącznie. Więcej nawet — nie może pretendować do tego sama partia. „Nie ma nieomylnych jednostek ani ciał zbiorowych. Lenin uczył, że partia również nie jest nieomylna. Oznakę jej siły widział nie w pozowaniu na nieomylność, lecz w otwartym, publicznym przyznawaniu się do każdego błędu".

Dalej autor daje wprawdzie do zrozumienia, że komitet centralny mylić się może chyba bardzo rzadko, gdyż partia dobiera do niego „swoich najlepszych i najbardziej doświadczonych ludzi", niemniej jednak teza, że partia nie jest nieomylna, pozostaje i prowadzi do pewnych konsekwencji. Jeżeli się bowiem przyjmuje możliwość popełniania błędów przez rządzących, trzeba się zgodzić na istnienie mechanizmu, który by błędy te pozwalał konstatować, zapobiegać im, a w razie potrzeby je prostować. Dla Schaffa mechanizmem takim jest „demokracja wewnątrzpartyjna" — kolegialność kierownictwa i swoboda dyskusji w obrębie partii, innymi słowy — partia sama miałaby rozstrzygać, czy popełniła błąd i sama miałaby go naprawiać. Ale nemo judex in sua causa, rządzący niechętnie przyznają się do własnych błędów i wyszukują zazwyczaj okoliczności, mające błędy te usprawiedliwić, a co ważniejsze, świadomość najcięższych nawet błędów nie może ich zmusić do rezygnacji z władzy. Schaff wspomina wprawdzie o odpowiedzialności wszystkich instancji partyjnych, „realizowanej w drodze otwartej krytyki i samokrytyki, sięgającej do najwyższych instancji włącznie", przed kim ma jednak odpowiadać najwyższa instancja partyjna?

Autokontrola jest konieczna, ale nie wystarcza. Mechanizm kontroli, aby był skuteczny, musi istnieć poza partią.

MECHANIZM KONTROLI

Mechanizm taki istnieje w demokracji parlamentarnej. Nie jest on bynajmniej doskonały, w wielu krajach działa wadliwie, lecz ludzkość nie wynalazła jeszcze ustroju, godzącego w sposób idealny zasadę autorytetu z zasadą wolności. Instytucjami kontroli w demokracji parlamentarnej są: parlament, niezależne sądy i wyborcy. Parlament nie tylko kontroluje politykę rządów, lecz, co ważniejsze, może usunąć rząd, którego politykę większość parlamentu lub większość wyborców uzna za błędną.

Ustrój sowiecki i ustroje demokracji ludowej przejęły instytucje demokracji parlamentarnej, sprowadzając je wszakże do fikcji. Warunkiem bowiem istnienia demokracji jest pluralizm polityczny — wolność tworzenia partii i ubiegania się przez nie w wyborach o władzę. Rządy monopartyjne w każdej swej formie — faszystowskiej czy komunistycznej — są zaprzeczeniem demokracji. Nie chodzi oczywiście o pluralizm formalny, istniejący w Polsce w postaci dwóch przybudówek do partii komunistycznej, lecz o stronnictwa niezależne i współzawodniczące, o możność wytworzenia w parlamencie opozycji. „Jesteśmy wolnym narodem" — mówi brytyjski konstytucjonalista, I. Jennings — „ponieważ możemy swobodnie krytykować i — jeżeli krytycyzm nasz okaże się przekonywujący — zmusić rząd do ustąpienia... Aby stwierdzić, czy naród jest wolny, wystarczy zapytać, czy w jego parlamencie jest miejsce na opozycję..." Parlament jednopartyjny wyłącza istnienie opozycji, a przez to legalnej alternatywy politycznej. Rządy monopartii może obalić jedynie rewolucja.

System sowiecki zdaje sobie zresztą sprawę z konieczności istnienia zewnętrznego mechanizmu kontroli rządów, stwarzając jego surogat w postaci „krytyki oddolnej". Okres ostatnich miesięcy przyniósł, zwłaszcza w Polsce, ogromne ożywienie tej krytyki, odsłaniającej wiele ropiejących wrzodów ustroju. Lecz najbardziej nawet rozległa krytyka oddolna nie zastąpi wolnych wyborów i opozycji parlamentarnej, choćby dlatego, że brak jej egzekutywy.

MONOPARTIA

Przypominamy te truizmy nie po to, aby polemizować z Schaffem, gdyż byłoby to bezcelowe. Obserwując jednak objawy „odwilży" czy — jak chce Cyrankiewicz — „wiosny socjalizmu" w Kraju, powinniśmy zdać sobie sprawę z istoty tych objawów i ich politycznego zasięgu. Deklamacje o prawach obywatelskich i praworządności pozostaną frazesem, jeżeli zasada rządów monopartyjnych, obowiązująca w ustroju sowieckim, nie ulegnie zmianie. Czy w ramach tego ustroju zmiana taka jest możliwa? Różnice poglądów w obrębie sowieckiej partii komunistycznej (i partii satelickich), o których wiadomości przenikają na Zachód, mogłyby, w warunkach wolności politycznej, doprowadzić do niejednej secesji i powstania nowych partii. Za czasów Lenina były próby tworzenia frakcji partyjnych i istniała rozległa „opozycja robotnicza", później stłumiona. Lecz są to tempi passati. Gdy w Jugosławii przed dwoma laty z pomysłem utworzenia drugiej partii wystąpił najbliższy współpracownik Tity, Milovan Djilas, spotkały go niełaska i ostracyzm polityczny; żyje w odosobnieniu, otoczony szpiegami i niepewny swych dalszych losów. Podobny projekt wysunęło niedawno czterech uczonych sowieckich, za co wydalono ich z partii.

Członków partii komunistycznej łączy nie jedność poglądów na zagadnienia polityki bieżącej, lecz dogmatyczna doktryna. Doktryna głosi, że partia reprezentuje całość interesów ludu pracującego i że poza nią nie ma na inne partie miejsca. Wielopartyjność jest wymysłem burżuazyjnym, mającym swe źródło w ścieraniu się ze sobą sprzecznych interesów rządzącej burżuazji; w społeczeństwie socjalistycznym sprzeczności takie nie istnieją, zanika więc podłoże podziału na partie. Założenia doktrynalne są oczywistą fikcją, rzeczywistość sowiecka rozsadza schematyczny podział społeczeństwa „socjalistycznego" na dwie klasy związane rzekomym sojuszem — robotników i chłopów. Różnice warunków bytu materialnego, rozpiętość przywilejów i pozycji socjalnej poszczególnych warstw społecznych są w tym społeczeństwie równie wielkie, jeżeli nie większe, niż w społeczeństwach zachodnich, choć oparte na innych podstawach. Partia komunistyczna, pretendując do wszechreprezentacji, reprezentuje w istocie tylko zorganizowany aparat przemocy. Rzeczywistość musi jednak ustąpić miejsca doktrynalnej fikcji.

Demokracja zachodnia jest systemem rządów wytworzonym empirycznie w walce całych pokoleń z samowolą władzy. Ustrój sowiecki jest nie tylko systemem rządów, lecz ma też być drogą prowadzącą ludzkość do raju na ziemi. Receptę na to uszczęśliwienie ludzkości mają jedynie partie komunistyczne w postaci marksizmu-leninizmu. Ta wyłączność uniwersalnej misji usprawiedliwia w oczach komunisty błędy, niedołęstwo, okrucieństwa i zbrodnie partii. Nie ma dla niej alternatywy politycznej, a każda opozycja byłaby kontrrewolucją.

PRAWORZĄDNOŚĆ OKTROJOWANA

Czy nie można jednak przyjąć, że nawet w ramach rządów monopartyjnych, pozbawionych instytucjonalnej kontroli, jest miejsce na pewną miarę praworządności i poszanowania praw obywateli? Ostatnie wydarzenia w Polsce zdają się świadczyć, że grupa rządząca dąży do wprowadzenia minimum takiej praworządności, a prasa komunistyczna nie szczędzi pod tym względem zapewnień. „Powstają u niektórych towarzyszy wątpliwości" — pisze w tym samym zeszycie „Nowych Dróg" H. Wolińska — „czy aby w ogóle dyktatura proletariatu nie rodzi obiektywnej konieczności łamania praworządności. Przypuszczenie takie jest oczywiście fałszywe, niesłuszne. Póki istnieje państwo, istnieje potencjalna możliwość — a nie konieczność — że pewne organa tego państwa, a w szczególności organa bezpieczeństwa, mogą wykazywać tendencje do naruszania praworządności. Ale taka możliwość wcale nie musi z jakimś złowrogim fatalizmem stawać się rzeczywistością... Nad dyktaturą proletariatu wcale nie wisi jakaś wyimaginowana groźba konieczności łamania prawa..."

Wszystko, co może przynieść ulgę społeczeństwu w Kraju w ciężkich warunkach jego bytowania, powinno nas cieszyć, trudno jednak nie odnieść się do zapewnień p. Wolińskiej z nieufnością. Praworządność oznacza podporządkowanie prawu zarówno rządzonych jak i rządzących, istota zaś wszelkiej dyktatury polega na postawieniu rządzących ponad prawem. Cytatami z Lenina można dowieść czego się zechce, lecz autorce powinno wystarczyć powołanie się na Lenina. Określa on w „Państwie i rewolucji" dyktaturę proletariatu jako „władzę zdobytą i utrzymywaną przez proletariat przeciwko burżuazji, władzę niekrępowaną żadnymi ustawami". Dyktatura proletariatu — to dyktatura partii, będącej wszak „awangardą proletariatu". Kto stoi ponad prawem, ma zawsze pokusę łamania prawa. Praworządność oktrojowana z łaski rządzących nie jest praworządnością, lecz tylko grą taktyczną, cieniem, który pojawia się i znika.

CI SAMI LUDZIE

Jest objawem pocieszającym, że samowola i bezprawia policji bezpieczeństwa w Polsce zostają ograniczone, że się krytykuje serwilizm prokuratury, krzywdzące wyroki sądów, podnosi rolę obrońcy w procesie. Mało pocieszające jest za to, że nic się nie słyszy o jakiekolwiek rewizji systemu, który nie utrzymałby się dnia nawet, gdyby pozwolono wypowiedzieć się społeczeństwu. Co więcej, nie słychać o jakichkolwiek zmianach programów gospodarczych, w których nadal przemysłowi ciężkiemu daje się pierwszeństwo przed potrzebami ludności i drogą presji ekonomicznej, wbrew oporowi chłopów, przyspiesza się kolektywizację.

Można zaryzykować hipotezę, że leaderzy sowieccy skłonni są, pod naciskiem sytuacji wewnętrznej, rozluźnić nieco więzy krępujące ich wasali w Europie środkowo-wschodniej, jest jednak wątpliwe, czy wasale potrafią skorzystać z otwarcia przed nimi choćby wąskiej szpary wolności. Powtarzają oni zgodnym chórem: idziemy własną drogą do socjalizmu, lecz zapewniają jednocześnie o swej dozgonnej wierności Związkowi Sowieckiemu i konieczności wstępowania w ślady „wielkiej październikowej rewolucji". Są to, z małymi zmianami, ci sami ludzie, których wyznaczono do realizacji „drogi Stalina". Nie stać ich na nic innego, jak tylko imitację. Jeżeli ferment nurtujący obecnie partię i wylewający się poza szeregi partyjne przerwie wyznaczone mu bariery, stanie się to bez ich udziału i wbrew ich woli.

MIT DYKTATURY

Schaff w swym artykule nie zamierza demokratyzować ustroju, lecz jedynie partię. „Nawrót do leninowskich norm życia partyjnego" ma zgalwanizować szeregi i wlać w nie niezbędną dozę dynamizmu. Dyktatura partii jest dla Schaffa rzeczą normalną i konieczną. Nie może on, w świetle ostatnich wydarzeń, bronić idei nieomylności partii, która pokrywała swą aprobatą dwudziestolecie rządów Stalina, ale też ze swych tez nie wyciąga konsekwencji. Gdyby je wyciągnął, postąpiłby logicznie, lecz przestałby być komunistą.

Samo jednak stawianie tez, które do niedawna jeszcze mogły uchodzić za rewolucyjne, świadczy o zamieszaniu ideologicznym w hierarchii PZPR. Gdy się bowiem władzy despotycznej odbiera irracjonalne podłoże, godzi się w ideę tej władzy. Rządy Stalina otaczał mit nieomylności, przez lata wpajano w społeczeństwo sowieckie przeświadczenie, że wszystko, co czyni dyktator, jest nieuniknione, zgodne z prawami historii, że nawet to, co wydaje się błędem, barbarzyństwem lub zbrodnią, jest w istocie rzeczy postępem na drodze budowy komunizmu. Nagle się okazało, że cała ta mistyka dyktatury była gigantycznym kłamstwem. Kolektyw postalinowski odarł dyktatora z nadprzyrodzonych właściwości, nie zważając, że godzi przez to w ideę dyktatury. Lecz z dyktatury rezygnować nie zamierza.

Na obszarze bloku sowieckiego zdaje się rysować zjawisko, które można by określić, jako ideologiczny kryzys władzy. Skoro rządzący są omylni, gdzie gwarancja, że idą po właściwej drodze? W szeregi partyjne wkrada się zwątpienie. „I nie jest przypadkiem — pisze „Nowa Kultura" — że najbardziej nihilistyczne dziś nastroje, wołania, że 'nasza sprawa jest skompromitowana', że 'czerwony faszyzm' rodzą się dziś głównie w środowiskach tak zwanego aktywu partyjnego i zetempowskiego'.

A. Schaff mógłby powtórzyć za Hamletem: „The time is out of joint". Na monolicie doktryny zjawiają się rysy.

Leon Kownacki

WYZNANIA I OPINIE

COŚ NIELUDZKIEGO JEST W TYM SYSTEMIE...

„Po Prostu" opisuje gospodarkę w Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg w Warszawie. Zakłady te — oświadcza pismo — to „kopalnia milionów rzucanych w błoto"; zarzut nie jest gołosłowny, pismo popiera go szeregiem wymownych przykładów. Ministerstwo Przemysłu Motoryzacyjnego, któremu Zakłady te podlegają, zamówiło dla nich niedawno pewne urządzenia z Węgier, przestarzałe i o połowę mniej wydajne niż angielskie. „Wydaje się, że raczej należało pójść za przykładem Związku Radzieckiego i sprowadzić urządzenia z Anglii, wiceminister Rubinstein, wbrew stanowisku załogi, zadecydował jednak inaczej". Szkody stąd wynikłe „Po Prostu" oblicza na miliony.

W przeszłości — informuje tygodnik — zarządzeń takich było więcej. Importowano maszyny, które już w chwili sprowadzania nadawały się jedynie do „muzeum postępu techniki". „Dwa lata temu ministerstwo sprowadziło z Niemieckiej Republiki Demokratycznej galwanizernię, która z wagonu powędrowała prosto do magazynu, gdzie przebywa do tej pory. Wstyd wymieniać cyfrę milionów, które zapłaciliśmy za to urządzenie..." Szkody nie tylko na tym jednak polegają. „Któż obliczy straty wynikłe z zakłócenia produkcji, a przede wszystkim z zahamowania postępu technicznego?"

„Jeżeli ekspedient lub kierownik sklepu zrobi manco na niewielką sumę — czeka go za to kara więzienia. W Zakładach im. Róży Luksemburg mamy do czynienia z milionowymi 'mankami'. I to z winy ministerstwa". 80% produkcji lamp „nowych typów" wyrzuca się do kosza, importuje się lampy, które można wyrabiać w kraju, opracowuje się produkcję lamp, „których koszt wynosi np. 2,5 mln. zł. — i nie wprowadza się do produkcji, zaliczając tę 'sumkę' na konto strat". W magazynach ZWLE leży 20.000 lamp 2K2M, które nikomu nie są potrzebne, a w dyrektywach planu pięcioletniego, opracowanych przez ministerstwo, przewiduje się wyprodukowanie ich w ilości jeszcze 130.000 sztuk... W sprawozdaniach z ubiegłego lata dostrzegamy sformułowania: 'straty poniesione tu są bardzo znaczne, sięgają dziesiątków milionów złotych... Dostawy w asortymentach całkowicie przestarzałych kosztowały nasz Zakład około 32 miliony zł... itd'. A na rynku brak żarówek". Artykuł opisuje powody tego braku, tkwiące w średniowiecznej metodzie wyrobu baloników szklanych. Baloniki trzeba wskutek tego sprowadzać z Czechosłowacji, co znowu kosztuje „odpowiednie miliony".

„Niedorzeczne, nieekonomiczne, niemożliwe do zrealizowania" polecenia ministerstwa wprowadza się systemem „bicia pięścią w stół". System ten stosują z kolei dyrektorzy, kierownicy działów, majstrowie, brygadierzy. Zmusza się robotników do przestarzałej i niepotrzebnej produkcji, zalegającej potem magazyny. „Coś wprost potwornego, idiotycznego i wręcz nieludzkiego jest w tym systemie... Jest on wręcz zaprzeczeniem socjalistycznych postulatów kierowania ekonomiką".

„Albo rozrzutne inwestycje: w ZWLE stoi wiele pustych hal fabrycznych, które mogą być użyte dopiero za kilka lat, a niektóre nie mają nawet przeznaczenia produkcyjnego. Budowano je 'na wszelki przypadek'... Nie wiemy, czy to inwestycyjne marnotrawstwo przypisać systemowi, kultowi jednostki, czy też po prostu głupiej ambicji niektórych ministrów..."

Ile izb mieszkalnych można było wybudować za utracone w ten sposób miliardy złotych — zapytuje pismo. Odpowiedzialni za ten stan rzeczy powinni ponieść karę. „Jeśli robotnik za wyniesienie z zakładu śrubki dostaje parę lat, to cóż mówić o wyniesieniu miliardów? Może słuszne byłoby, żeby do spraw wielu ministerstw wejrzała prokuratura?... Olbrzymia suma strat materialnych zmusza... do odrzucenia hipotezy... że mieliśmy do czynienia jedynie z wypaczeniami systemu gospodarczego, w zasadzie dobrego, prawidłowego... To był zły, daleki od ideału, szkodliwy system zarządzania gospodarką, w którym 'wypaczenia' były naturalnym, koniecznym produktem..."

Krytyka w okresie „odwilży" nie oszczędza nawet ministrów, co prawda, drobniejszego kalibru, co więcej jednak — narzeka na system. „Nie od dziś krąży po Łodzi powiedzonko — pisze „Życie Literackie" — że gdyby stare Geyery, Scheiblery, Poznańscy otrzymali przy obecnym nakładzie kosztów własnych obecną produkcję — to by z torbami poszli na dziady". Państwo wszakże nie bankrutuje, na dziady idą co najwyżej podatnicy.

ŁAJDACTWO

„Inż. A. . pokazuje fotografię śmiertelnie poparzonego w czasie produkcji pracownika... Chyba nawet płótna Goyi nie oddają w tym stopniu straszliwego bólu i wielkiej krzywdy, co ta wierna przecież odbitka rzeczywistości. Pięcioro sierot i wdowy po żywcem spalonych, które do dnia dzisiejszego nie otrzymały należytego wsparcia... Stało się nieszczęście, ale w żadnym razie nie było ono skutkiem przypadku. Winny musiał zdawać sobie sprawę z możliwości pożaru i godził się z tą ewentualnością..."

Mowa o Spółdzielni Pracy Chemików im. Rosenbergów w Łodzi, zarządzanej przez prezesa Kwiatkowskiego. „Prezes spółdzielni... Kwiatkowski polecił produkować metol. Aparatury do produkcji nie było... Tymczasem okazało się, że zobowiązanie wykonania zamówień prezes już podjął i trzeba było jakoś produkować. Do dyspozycji była tylko zupełnie nie przystosowana do produkcji ciągłej aparatura, służąca do robienia niewielkich doświadczeń. Prezes Kwiatkowski kazał ją jednak użyć". Skutki nie dały na siebie długo czekać: „w miesiąc potem nastąpił pożar, który spowodował śmierć dwóch osób, oblanych palącym się metolem..."

Jeden z pracowników, zatrudniony przy bardzo niebezpiecznej produkcji, zachorował umysłowo; prezes rady nadzorczej domagał się natychmiastowego odsunięcia go od produkcji, lecz Kwiatkowski odmówił. „W jakiś czas potem" pracownik ów „spalił się żywcem". Inny kradł i pił alkohol służący do produkcji; zamiast go zwolnić, Kwiatkowski polecił zatruć alkohol metolem. „Pągowski, który nadal wynosił alkohol, poczęstował nim swego współpracownika... oraz 7 innych osób. Sam zatruł się śmiertelnie oraz spowodował śmierć 7 innych osób".

Tenże Kwiatkowski „bez zezwolenia inspektora pracy... zmusił cały personel techniczny pod groźbą zwolnienia opornych z pracy do pełnienia nieprzerwanych 24-godzinnych zmian przy produkcji kwasów, których opary już po ośmiu godzinach poważnie szkodzą organizmowi... Zmusił pracowników... do pracy w rozmiarze powyżej 24 godzin przy wysoce niebezpiecznej produkcji chlorku tionylu, który już w okresie ok. 8 godzin wpływa trująco na płuca i krwiobieg. Uzasadnieniem tej decyzji miała być konieczność wykonania samowolnie podjętych zobowiązań..."

Kim jest ów Kwiatkowski? „...Nie był chemikiem, ma natomiast za sobą bogatą karierę życiową i skomplikowaną drogę — od funkcjonariusza organów bezpieczeństwa publicznego przez dyrektora teatru do kierownika poważnej instytucji chemicznej. Spółdzielnią rządził jak własnym folwarkiem, kolektyw rozbił, groził i w razie oporu groźby spełniał..." Skargi składane na niego do „Fali 49" pozostawały bez skutku. „Komuś ze skarżących powiedziano nawet, żeby nie rozrabiał przeciw ustawionemu człowiekowi, do którego ma się zaufanie". Gdy wreszcie członkowie spółdzielni „zdobyli się na odwagę i na ogólnym zebraniu ...w obecności władz wygarnęli większość faktów Kwiatkowskiemu w oczy", przeniesiono go na inne, wyższe stanowisko. Jest obecnie dyrektorem Zakładów Maszyn i Odlewów w Gdańsku. Wypadki śmiertelne w spółdzielni stały się przedmiotem śledztwa, toczy się ono jednak nie przeciw Kwiatkowskiemu, lecz przeciw inżynierom, którzy sprzeciwiali się użyciu wadliwej aparatury. Załoga spółdzielni — pisze „Po Prostu" — daremnie, jak dotąd, domaga się sprawiedliwości — posadzenia Kwiatkowskiego na ławie oskarżonych. Dat veniam corvis, vexat censura columbas.

Ile łajdactw wyrzuci jeszcze na powierzchnię życia w Polsce „wiosna socjalizmu"?

WILNO—Widok na miasto i katedrę z Góry Gedymina

Sprawa Armii Krajowej

Sprawa b. żołnierzy Armii Krajowej jest od pewnego czasu przedmiotem licznych artykułów i listów na łamach prasy. Autorzy artykułów, ożywieni nowym prądem liberalnym, przychodzą do wniosku, że dotychczasowy stosunek reżymu do byłych AK-owców był niesprawiedliwy i że należy go poddać rewizji. Młodzież spod znaku AK, zwiedziona rzekomą apolitycznością tej organizacji, wstępowała do niej, aby walczyć o wyzwolenie Polski spod hitlerowskiego jarzma; czy można winić tę młodzież, że walcząc bohatersko i ofiarnie, służyła nieświadomie interesom kapitalistów i obszarników? Winni są dowódcy, im AK zawdzięcza ciążące na niej piętno organizacji antyradzieckiej i reakcyjnej. Czas jednak, aby przeprowadzić rozgraniczenie odpowiedzialności i przestać uważać wszystkich AK-owców za obywateli drugiej klasy.

„Istnieje doniosły problem właściwego stosunku do dziesiątków tysięcy b. AK-owców — mówił Ochab na kwietniowej naradzie aktywu warszawskiego. — Mamy w tej dziedzinie sporo grzechów... Wśród wielu naszych personalników nadal... kursują poglądy, że skoro ma się do czynienia z byłym członkiem AK, albo z człowiekiem, którego siostra była w AK, lub który ożenił się z b. członkinią AK, to takiego człowieka raczej nie należy awansować i należy traktować z podejrzliwością... Niepotrzebnie spychano b. AK-owców, stawiano ich nieraz w sytuacji, w której nie czuli się pełnoprawnymi obywatelami, starano się wielu z nich złamać albo otoczyć atmosferą nieufności... Praktyka ostatniego dziesięciolecia wykazała, że byli AK-owcy — to ludzie, którzy w swej masie stoją na gruncie naszego ustroju i rzetelnie pracują dla Polski ludowej... Z tego faktu należy wyciągnąć polityczne i organizacyjne wnioski..."

Tej dość dwuznacznej wspaniałomyślności Ochaba wtóruje „Trybuna Ludu", pisząc o „haczykach" w ankietach personalnych, o prześladowaniu niewinnych i „naruszaniu praworządności". Ujawnienie b. przynależności do AK dyskwalifikowało nawet działaczy partyjnych, pracujących lojalnie dla dobra Polski ludowej, powodując wykluczenie z partii, zwolnienie z pracy, a nierzadko i represje. To powinno ustać — oświadcza „Trybuna". „Partia stwierdzała niejednokrotnie... że każdego obywatela oceniać powinniśmy według jego pracy, według jego postawy obecnej, według jego wkładu w dzieło naszego budownictwa".

Partia gotowa jest więc, po jedenastu latach, przebaczyć żołnierzom AK, że śmieli walczyć z najazdem, pod warunkiem wszakże, że wykażą się lojalnością wobec nowego zaborcy, czyli wyrzekną się idei, za którą walczyli. Nagrodą za ich ofiarność były masowe zsyłki w głąb Rosji, a dla szczęśliwszych — udręki, szykany i prześladowiania we własnym kraju. Świadectwem tych lat jedenastu są listy, przeważnie anonimowe, napływające do redakcji pism, odsłaniające gehennę powojennego życia tych pariasów „Polski ludowej". Podajemy niektóre fragmenty listów za tygodnikiem „Po Prostu", „Trybuną Wolności" i „Nową Kulturą".

„Myślałem, że AK-owcy... nigdy w obecnym systemie nie doczekają się 'rehabilitacji', bowiem sądziłem, że system ten związany jest chyba nierozłącznie z zakłamaniem, obłudą, fałszowaniem faktów i historii... Ale oto zaczyna coś świtać, coś się zmieniać. To 'coś' uczciwi ludzie witają ze zdumieniem, niedowierzaniem, a jednocześnie z prawdziwą ulgą... Okazuje się, że jednak można czasami trącić o strunę, z taką niezwykłą pieczołowitością tłumioną przez ludzi, dla których sprawa zakłamanej propagandy była o wiele bliższa i droższa niż tak niedawne chlubne fakty, które żywo jeszcze tkwią w świadomości całego polskiego społeczeństwa..." Autor, b. dowódca rejonu AK, pisze dalej o walkach, jakie toczył jego oddział z Niemcami i o tym, jak zmuszony był się ukrywać, aby uniknąć deportacji. „Intuicja kazała ulotnić się. Zrobiłem tak i zrobiłem — jak się później okazało — dobrze. Ale gdziekolwiek w roku 1944 i w latach następnych przybyłem, tam dowiadywałem się, że AK-owcy to zdrajcy, świnie, karły, sługusy obszarników, imperialistów, faszystów itp., że stali z bronią u nogi, że chcieliby powrotu panów, powrotu Andersa na białym koniu... Rozpoznali mnie jako AK-owca i wzięli podstępnie i chytrze z ulicy. Uciekłem, ale złapali, przy tym o mało nie zginąłem od polskiej kuli. Kiedy mnie wypuszczono (pół roku bez sprawy), nie wiedziałem w ogóle, gdzie mam się udać. Piętno AK-owca było zbyt niebezpieczne. I znów niezawodna intuicja kazała mi zmienić teren. Czułem się jak zaszczuty pies... Nie było już chyba w PL gorszej kategorii ludzi niż AK-owcy. Do dziś nie przyznaję się nikomu, że nim byłem..."

„...Do AK wstąpiłem mając 16 lat... Nawet nie zastanawialiśmy się w gorących latach okupacji nad polityką kierownictwa AK. Dla nas istniała tylko walka. Czciliśmy bohaterskie czyny lotników polskich, czciliśmy Tobruk, Monte Cassino. Te świętości u nas pozostały i pozostaną zawsze, gdyż dotyczą bohaterstwa polskich żołnierzy, a nie polityki ich dowództwa. Jednak — wyjaśniając rolę tego dowództwa popełniono błąd — pluto nam zarazem w serca na nasze największe świętości, przemilczano bądź oczerniano to wszystko, co czciliśmy, stworzono barierę, której nie mogliśmy i nie potrafiliśmy przekroczyć..."

W niektórych listach brzmią akcenty buntu. „...Musicie przełamać jeszcze dalsze przegrody moralne, które w was tkwią. W tym stanie, jaki jest, lepiej nie podawajmy sobie jeszcze rąk... Zabroniono pisać o nas w sposób uczciwy i konkretny, natomiast oczerniano nas w sposób, który absolutnie każdy uznać musiał za niesprawiedliwy i krzywdzący. To wasze czernidło zamazało nasze grzechy, błędy i wady, których oczywiście nie brakło, a zostały tylko żołnierskie cnoty. Wy sami... zamieniliście nas w legendę, tym bliższą wszystkim ludziom uczciwym, że piękną i zakazaną, zakłamaną i zaplutą. Jest to legenda o dobrym żołnierzu... którą jak gdyby zmonopolizowali AK-owcy. A to dlatego, że naprawdę byli co najmniej równie dobrymi żołnierzami, jak inni, a otoczyła ich aureola krzywdy. Występuje to już wówczas, gdy się głośno i oficjalnie podnosi działalność AL-owców i Kościuszkowców, o nas pozwalając tylko myśleć i szeptać. Nie ma w Warszawie żadnej ulicy naszego imienia — więc wszystkie ulice są nasze. Zastrzegacie się... przeciw legendzie AK, a tymczasem ona istnieje i faktem politycznym jest dziś wyidealizowana legenda o AK, a nie żywi ludzie z AK. My AK-owcy nie stanowimy dziś żadnej siły faktycznej, natomiast jako legenda stanowimy potęgę moralną..." Autor wypowiada się jednak za „budową socjalizmu". „Budujemy te domy, w których nie ma dla nas miejsca. Nawet klnąc na socjalizm, budujemy socjalizm".

Innym listom nie brak konformizmu. „Jestem b. członkiem AK. Powstanie warszawskie przeżyłam na Pradze... Obecnie, z perspektywy 12 blisko lat, widząc z całą ostrością fałszywą i zgubną politykę góry akowskiej, z uznaniem oceniam dwa posunięcia dowództwa jednostek AK na Pradze... Po 16 godzinach walki zbrojnej z hitlerowcami, kazano naszym oddziałom ukryć broń i przejść ponownie w konspirację... Po wyzwoleniu Pragi na ścianach domów pojawiły się plakaty podpisane przez dowódcę okręgu AK, płk. Andrzeja, wzywające wszystkich członków AK do ujawniania się przed legalnymi władzami..." Autorka oświadcza dalej, że jednym z problemów AK był „wrogi stosunek licznych dowódców oddziałów akowskich do rewolucji ludowej w Polsce", drugim zaś — „niesłuszne potraktowanie b. AK-owców przez różne organy władzy ludowej". Wszystkich uznano za bardziej lub mniej potencjalnych przestępców... Rosła w tych ludziach bierność, apatia, cynizm, a zarazem lęk... Pomiatanie AK-owcami wywoływało u jednych nienawiść do ustroju, u innych — żal, rozgoryczenie. Jakże mocno zabolały rzucone mi kiedyś pogardliwe słowa: 'Nie wiem, czy wy jeszcze dotąd nie jesteście akówką?' Brzmiało to jak oskarżenie o bandytyzm". List jest podpisany.

A oto opis powojennych kolei żołnierza, którego doświadczenia nauczyły sceptycyzmu. „Osobliwą... drogę przeszedł przez 10-lecie b. żołnierz podziemia naznaczony akowskim stygmatem... Droga ta prowadziła przez więzienie. A i później — już na wolności, po odbyciu kary — czekała izolacja i niepisana zmowa traktowania nas jako niepotrzebnych ludzi, ludzi drugiej kategorii... W śledztwie pokazano mi, jak można odebrać człowiekowi godność ludzką. A potem ogłoszono w majestacie prawa wyrok równający się połowie lat mojego życia... Łamanie praworządności, o czym mówiło się na XX zjeździe, nie ominęło przecież i nas... Lata spędzone w więzieniu nie były spokojne... Czasem rozmawiano z nami. Lecz kiedy podczas takiej 'rozmowy' wmawiano mi, że to ja właśnie chciałem powrotu sanacji lub przekonywano uporczywie, że wszystko w AK było zbrodnią — milczałem. Bo cóż miałem powiedzieć, skoro do roku 1939 biegałem w szortach i grałem w piłkę... A później, po latach zostałem zwolniony... Nie uwierzy pan, czego się nie chwytałem. W Szczecinie odmówiono mi posady woźnego, kiedy się dowiedziano, że wróciłem z więzienia; w koszalińskim, w jednym z zespołów PGR, odrzucono moją prośbę o prawo ładowania łopatą ziemniaków na wóz. Nie chciano ze mną rozmawiać i praca moja nikomu nie była potrzebna. Powstała paradoksalna sytuacja: nie było dla mnie miejsca na ziemi, której obrońcą mieniłem się niedawno..." Autor po długich poszukiwaniach pracy, został gońcem w ministerstwie. „...Teraz, tak ni stąd ni zowąd mamy się spotkać razem pod wspólnie wzniesionym pomnikiem ku czci powstańców Warszawy? Czy to trochę nie za prędko?... Naprawiliśmy krzywdy? I jak będziemy się czuli pod tym pomnikiem: mój b. personalnik i ja?... Czy XX Zjazd ma być nowym zakrętem taktycznym, czy prostą drogą do lepszego i sprawiedliwszego życia?... Chcę wierzyć... że mój syn nie będzie musiał dojrzewać w więzieniu lub na polu walki, tak jak dojrzewał jego ojciec. Wybaczy mi Pan, Redaktorze, brak podpisu. Nie oznacza to, bym rezygnował z obrony moich poglądów i krył się pod anonimem. Po tym jednak, co napisałem, mam pewne obiekcję i wolę jeszcze zaczekać".

Listy te mają większą wymowę niż wszystko co dotąd napisano o życiu w powojennej Polsce.

KRONIKA KRAJOWA

AMNESTIA

Uchwalona na ostatniej sesji Sejmu ustawa o amnestii obejmuje cztery kategorie przestępstw. Do pierwszej należą — według określenia referenta sejmowego ustawy, Pawlaka — „przestępstwa antypaństwowe i do nich zbliżone", popełnione przed dniem 15 kwietnia 1956 roku. Przestępstwa zagrożone karą pozbawienia wolności do lat 5 puszcza się w niepamięć i wybacza, postępowania karnego w sprawach o te przestępstwa się nie wszczyna, a wszczęte ulega umorzeniu; kary już orzeczone a jeszcze nie wykonane w całości darowuje się i wykreśla z rejestru karnego. W stosunku natomiast do przestępstw zagrożonych karą więzienia powyżej lat 5 lub karą śmierci, ustawa przewiduje, zależnie od przypadku, darowanie, złagodzenie lub zamianę orzeczonej kary. Darowuje się całkowicie kary pozbawiania wolności w wymiarze do lat 5, surowsze zaś ulegają złagodzeniu; karę więzienia do lat 10 łagodzi się o połowę, kary powyżej lat 10 — o jedną trzecią, karę dożywotniego więzienia zamienia się na 12 lat więzienia, a karę śmierci — na 15 lat więzienia. W niektórych przypadkach dopuszczalne jest umorzenie postępowania w sprawach o przestępstwa „antypaństwowe" zagrożone surowszymi karami niż 5 lat więzienia.

Drugą kategorię przestępstw podlegających amnestii stanowią przestępstwa pospolite, naruszenia dyscypliny pracy, wykroczenia i występki skarbowe oraz przestępstwa objęte orzecznictwem nie istniejącej już Komisji Specjalnej do walki z nadużyciami i szkodnictwem gospodarczym; podlegają one amnestii jednak tylko wówczas, jeżeli najwyższy ustawowy wymiar kary za nie nie przekracza dwóch lat pozbawienia wolności (dla kobiet — lat 3, a jeżeli mają dziecko do lat 14 — lat 5). Przestępstwa te puszcza się w niepamięć i wybacza, a kary już orzeczone, lecz nie wykonane w całości darowuje się. To samo dotyczy grzywien do 2.000 zł. Przestępstwa pospolite zagrożone wyższymi karami podlegają amnestii tylko wtedy, gdy kara orzeczona nie przewyższa lat 2 (dla kobiet lat 3, bądź 5).

Do trzeciej kategorii należą przestępstwa popełnione przez repatriantów przed dniem powrotu do Kraju, jeżeli powrót ten nastąpi przed dniem 22 lipca 1957 roku. Postępowania karnego w sprawach o te przestępstwa się nie wszczyna, wszczęte ulega umorzeniu, a kary już orzeczone darowuje się i wykreśla z rejestru karnego. Ustawa wspaniałomyślnie wybacza te przestępstwa bez względu na wysokość przewidzianej za nie kary, wyłączając jedynie zbrodnie zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami w czasie wojny. Co więcej, kandydaci na powrót do Kraju mogą, według ustawy, uprawiać bezkarnie działalność „antypaństwową" jeszcze przez z górą rok, byleby zaniechali jej przed 22 lipca 1957 roku i wrócili w tym terminie do Polski.

Czwartą kategorię stanowią wreszcie przestępstwa polegające na kolaboracji z okupantem w czasie wojny i „faszyzacji życia państwowego" w Polsce przed wojną. Przestępstw tych nie będzie się ścigać w przyszłości, a kary już orzeczone ulegają darowaniu, złagodzeniu lub zamianie według zasad przewidzianych dla przestępstw antypaństwowych. Zbrodnie zabójstw i znęcania się nad ludnością są wyłączone.

Przestępstwa nadużycia władzy (urzędnicze) nie podlegają amnestii. Amnestia nie uszczupla też prawa do rehabilitacji osób niesłusznie skazanych.

Ustawy amnestyjne wydaje się zazwyczaj dla upamiętnienia pewnych faktów w życiu narodu i państwa. Omawiana ustawa nie podaje motywów, dla których została wydana, może ze względu na ich kłopotliwość. Upamiętnienie „epokowego" XX zjazdu? Zerwania z „kultem jednostki"? Tak czy inaczej, cieszyć się należy, że kilka tysięcy Polaków, skazanych w wyreżyserowanych procesach politycznych, odzyska wolność. Ustawa jest też fragmentem szeroko zakrojonej akcji repatriacyjnej, lecz w tej dziedzinie jej skuteczność wydaje się wątpliwa.

USTAWY: PRZECIWALKOHOLOWA I O PRZERYWANIU CIĄŻY

Ustawa o walce z alkoholizmem, uchwalona na tej samej sesji, zakazuje w swej części zasadniczej sprzedaży, podawania i spożywania alkoholu w zakładach oświatowo-wychowawczych, szpitalach i sanatoriach, zakładach pracy i hotelach robotniczych, domach kultury, świetlicach, restauracjach i bufetach dworcowych, na targowiskach, w koszarach i obozach wojskowych oraz w sklepach otwartych w godzinach nocnych. Nie wolno też sprzedawać napojów alkoholowych osobom nietrzeźwym i nieletnim do lat 18. Zakazy powyższe obejmują napoje zawierające ponad 4,5% alkoholu.

Pozostałe części ustawy traktują o przymusowym leczeniu alkoholików, zabezpieczeniu ich rodzin i karach za przekroczenie zakazów. Doświadczenie wykazuje, że zakazy i ograniczenia przeciwalkoholowe obchodzić jest względnie łatwo, czas zatem pokaże, w jakiej mierze ustawa wpłynie na zmniejszanie się alkoholizmu w Polsce, przybierającego zastraszające rozmiary. Według danych przytaczanych w Sejmie, spożycie alkoholu w roku 1955 wynosiło w przeliczeniu na czysty spirytus 2,9 litra na głowę ludności. W roku 1954 milicja zatrzymała 255.458 osób z powodu opilstwa, w roku 1955 liczba ta się zmniejszyła, wynosząc 210.926. Wypadków drogowych wywołanych przez osoby nietrzeźwe w roku 1954 było 1.629, w roku ubiegłym — 1.979, w tym wypadków śmiertelnych 312.

W jednej ze szkół przeprowadzono ankietę, która wykazała, że w klasie siódmej na 30 dzieci — 11 piło wódkę, a w klasie dziesiątej na 14 dzieci oddawało się temu nałogowi 12. W czasie jednej z zabaw w powiecie opoczyńskim 200 osób wypiło 100 litrów wódki. Spółdzielnie w województwie olsztyńskim osiągnęły w pierwszych trzech miesiącach zaciągu pionierskiego 57 milionów złotych zysku ze sprzedaży wódki. Są to przykłady przytaczane w Sejmie.

Ustawa o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży znosi praktycznie wszelkie ograniczenia w tej dziedzinie. Przepisy dotychczasowe zezwalały na spędzanie płodu w dwóch jedynie przypadkach, pod warunkiem dokonania zabiegu przez lekarza: a) jeżeli zabieg był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, b) jeżeli ciąża była wynikiem przestępstwa (użycie przemocy, wyzyskanie stosunku zależności itp.). Nowa ustawa dopuszcza przerwanie ciąży, jeżeli przemawiają za tym: a) wskazania lekarskie, b) trudne warunki życiowe kobiety ciężarnej, c) jeżeli zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku przestępstwa. Zestawienie przepisów dawnych i nowych ilustruje różnice. Przepis o zagrożeniu zdrowia kobiety zastąpiono rozciągliwszym przepisem o „wskazaniach lekarskich", a nadto uznano dopuszczalność zabiegu w razie „trudnych warunków życiowych kobiety ciężarnej". Co to są trudne warunki życiowe? Czy wiele kobiet w Polsce znajduje się w „łatwych" warunkach życiowych? Kto wreszcie rozstrzyga, czy te warunki istnieją? Ustawa daje odpowiedź na to ostatnie pytanie. Rozstrzyga lekarz. Komentarze zbyteczne.

MILCZĄCA PROWINCJA

Korespondent „Sztandaru Młodych", opuszczając „rozpaloną sporami Warszawę", ma wrażenie, że „udaje się do innego kraju, który milczy, nadsłuchuje, czeka". Opisuje on nastroje w jednym z zakładów włókienniczych na południu Polski. „Zakład był nieduży, ale ilość dziejących się tam świństw — wielka." Rozmowy z pracownikami zakładu przekonały go, że o „odwilży" nic tam nie wiadomo. Młodych zetempowców zdumiewało twierdzenie, że „można dyskutować na różne tematy, nie tylko te, jakie poleca ZP". Nie wierzyli, a gdy autor artykułu próbował ich przekonywać, że powinni walczyć z nadużyciami w zakładzie, odpowiedzieli, że „to by było niesłychane w ich warunkach, że nikt ich nie poprze, że każdy ich śmielszy postępek spotka się z potępieniem". Mieli, jak się okazało, rację, gdyż dyrektor zakładu był na autora oburzony. „Jak mogliście buntować młodzież? Kto pozwolił nawoływać młodzież do takiej walki?... Wyście ich, towarzyszu, podburzali!"

Nie lepiej powiodło się autorowi w zarządzie powiatowym ZMP. „To jak to — wystraszyła się część towarzyszy — to znaczy dyskutować o takich sprawach? A co powie ZW? Nam takiego planu nie zatwierdzi KP! Cholera, człowiek wyleci na bruk, jak zacznie tak szumieć!..." Autor udał się więc do KP. „Towarzysz... wrócił właśnie z województwa... 'W Warszawie jest zamęt' — powiedział — 'nie możemy dopuścić, aby przeniósł się na nasz teren.' Prosiłem, aby powiedział, jakie jeszcze dostrzega zadania w swoim powiecie. 'Będziemy zwalczać kult jednostki' — powiedział... Jak więc wyglądał program KP? Nie dopuścić do 'warszawskiego zamętu' i 'walczyć z kultem jednostki'. Na czym to dokładnie polega, nikt nie wiedział..."

PORADY DLA AKTYWISTÓW

„Szpilki" w felietonie „Czasy, czasy..." udzielają kilku zasadniczych porad aktywistom. „W zasadzie powinieneś zachowywać się nadal tak, jak dotychczas. Nie zdarzyło się bowiem nic takiego, co powinno wpłynąć na Twoje postępowanie. Ostatecznie tyle razy mówiono o zmianach. Pamiętasz III Plenum? No, i co z tego wyszło? Niejeden z pewnością żałuje, że je wziął na serio. Dlatego więc musisz być w każdym swym słowie czy posunięciu bardzo ostrożny... Nie pchaj się z pomysłami, nie ulegaj szkodliwemu kultowi nowości..."

„Im lepiej będziesz umiał tak manewrować, aby nie wychylić się ni w prawo ni w lewo, im mniej będziesz konkretny, im lepiej będziesz sypał utartymi, ale wypróbowanymi komunałami, tym lepsza będzie opinia o Tobie, tym większe masz perspektywy na dalszą karierę... Nie zadawaj referentowi innych pytań, jak te, na które odpowiedź jest Ci znana i znalazła się w referacie... Uchodzić będziesz za człowieka, w trudzie przełamującego wątpliwości, wykażesz swoją lojalność i zyskasz sympatię referenta..."

„Jest rzeczą istotną, abyś wytworzył wokół siebie przekonanie, żeś należał do tych, którzy nie zważając na ryzyko, od dawna występowali przeciw kultowi jednostki... Musisz dać do zrozumienia, że to, o czym teraz się mówi, Ty już dawno przewidziałeś, tylko że wtedy nie chciano Cię słuchać... W swych uwagach o XX Zjeździe powinieneś często powoływać się na opinię klasy robotniczej, chłopów, bezpartyjnej inteligencji. Będziesz uchodził za człowieka, wsłuchującego się w głos mas... Najważniejsze jest, aby wiedzieć, co Twoi kierownicy czy przełożeni czy też... nadrzędna instancja partyjna chcą w tej sprawie wiedzieć. Umiejętnie zacytowanym zdaniem 'z dołu' powinieneś podeprzeć opinię, usłyszaną 'z góry'. Czyż to nie piękne zadanie dla aktywisty?".

NADUŻYCIA W HANDLU USPOŁECZNIONYM

„Słowo Powszechne" pisze o szeroko rozpowszechnionych nadużyciach w „uspołecznionym" handlu detalicznym. Reporterka „Słowa" towarzyszyła urzędnikom inspekcji handlowej w wizytacji sklepów warszawskich. Byli w 11 sklepach, z czego w 7 stwierdzili nadużycia, polegające na pobieraniu za sprzedawane towary cen znacznie wyższych od urzędowych, na niedoważaniu produktów, bądź sztucznym powiększaniu ich wagi za pomocą np. zastrzykiwania wody do mięsa i wędlin. Wizytacja sklepów na Żoliborzu dokonana przez jednego z dyrektorów MHM wykryła, według „Życia Warszawy", że na 10 sklepów tylko 2 pobierały właściwe ceny.

Nie lepiej się dzieje w innych miastach Polski. W sklepie MHM w Stalowej Woli, jak donosi to samo „Życie", sprzedawczyni otwierała oryginalne butelki z alkoholem i mieszała alkohol pół na pół z wodą. Inspekcja wykryła w tym sklepie za 62.000 zł spreparowanych w ten sposób wódek. Spółdzielnia inwalidów w Skierniewicach sprzedała 100 wsyp na pierzyny po 350 zł zamiast po 194 zł. W Rawie Mazowieckiej wełnę czesankową wycenioną na 140 zł sprzedawano po 550 zł. Tzw. „kanty" są powszechne zwłaszcza w handlu mięsem.

W spółdzielniach spożywczych pracują instruktorzy handlowi, istnieje państwowa inspekcja handlu obowiązana do kontrolowania sklepów, dyrekcje MHD rozsyłają sprzedawcom stosy instrukcji i pouczeń, ale wszystko to niewiele pomaga. W Polsce się mówi, że jedynie spodnie z Centrali Odzieżowej są bez „kantów".

Ustrój socjalistyczny, jak głosi teoria, wyłączył ze stosunków gospodarczych kapitalistyczny motyw zysku, zastępując go pojęciem funkcji społecznej. Na miejsce sklepikarza przyszedł funkcjonariusz pobierający za swe usługi wynagrodzenie od państwa. W praktyce okazało się jednak, że ten upośledzony motyw zysku czai się nadal za ladą uspołecznionego sklepu, przybierając jedynie karykaturalne formy. Różnica jest ta, że w ustroju kapitalistycznym stosowanie oszukańczych procederów niezbyt się opłaca, gdyż à la longue grozi utratą klientów i bankructwem sprzedawcy. W systemie socjalistycznym pojęcie bankructwa jest nieznane, a represje administracyjne wytrzebić nadużyć nie potrafią.

DZIEŃ „BIEDNIAKA" I KUŁAKA

„Biedniak" na wsi opisuje agitatorowi swój dzień roboczy: „Człek budzi się rano, zboże przed terminem odstawia, przodującą metodę zastosuje, z sąsiadami klasowo pogada, kułaka zdemaskuje, skrzynki rolniczej posłucha i kładzie się spać. Gdybym to tak udój mógł podciągnąć..."

Inny jest dzień kułaka, który wyznaje: „Zboże zawołczyłem, wdowę wykorzystałem, antypaństwowe pogłoski rozpuściłem, mleko rozcienczyłem, stonkę po polu rozsypałem... No, dzisiaj norma przekroczona..."

Kułak namawia biedniaka: „Chodźcie do mnie, kumie, pogwarzymy sobie krzynę, radia posłuchamy na krótkich falach..." Na wsi powstaje jednak spółdzielnia produkcyjna i kułak zostaje „odizolowany".

Obrazek ze szkicu satyrycznego „Szpilek" pt. „Świt w Kurzykopkach".

WRAŻENIA P. BENTONA

P. Wilhelm Benton, wydawca encyklopedii brytyjskiej i b. senator amerykański, opisuje w „New York Herald Tribune" swe wrażenia z niedawnego pobytu w Polsce. Uwagę jego zwrócił m. in. wzrost obrotów handlowych między Chinami a Polską, którego widomym znakiem są liczne wystawy sklepowe z chińskimi dziełami sztuki i jedwabiami. „Lecz wyroby te — pisze p. Benton — nie mogą nawet częściowo pokrywać wartości maszyn i urządzeń wywożonych do Chin i będących po prostu eksportem polskiego kapitału. Próbowałem kilkakrotnie stwierdzić, co Polska otrzymuje w zamian, ale bez powodzenia. Były niejasne wzmianki o surowcach, brakowało ścisłej informacji."

„Przemysł polski zdaje się rozwijać szybko, liczba robotników fabrycznych wzrosła z 3.000.000 do 5.500.000 od końca wojny. Zwiększyła się produkcja stali. W jakiej mierze jednak Polacy sami z tego korzystają, jest kwestią do dyskusji."

„Choć więzy krępujące Polskę uchodzą w oczach niektórych intelektualistów za jedwabne, niemniej wszakże wiążą i cokolwiek by się zmieniło od czasu wojny, zasadniczy stan rzeczy pozostał, jak sądzę, bez zmiany."

A MOŻE WYBORY?

„Tygodnik Demokratyczny", organ ugrupowania, któremu pozwolono istnieć w Polsce pod nazwą „Stronnictwa Demokratycznego", ubolewa nad znikomym wpływem Sejmu na życie polityczne Kraju. „Sejm nasz nie pracuje właściwie, nie sprawuje w rzeczywistości funkcji najwyższego organu państwowego... Prace jego... cechuje odświętność, deklaratywność, brak rzeczywistej dyskusji i krytyki, brak atmosfery roboczej, brak inicjatywy... Sprawowanie przez Sejm jego konstytucyjnych funkcji ma często znamiona czystego formalizmu, niedopuszczalnego i niezrozumiałego w ustroju typu socjalistycznego..."

Anemia polityczna parlamentu — oświadcza dalej „Tygodnik" — nie jest właściwością jedynie polskiej demokracji ludowej, to samo zjawisko istnieje i w innych krajach ludowo-demokratycznych, a także w ZSSR. Co jest tego przyczyną? „Na ukształtowanie się tego modelu parlamentu — wyjaśnia pismo — nie bez wpływu, i to poważnego, pozostał kult jednostki". W systemie rządów autokratycznych nie ma miejsca na przedstawicielstwo ludowe, staje się ono jedynie fasadą, ornamentem życia państwowego. Ten typ parlamentu nie jest jednakże „konieczną konsekwencją założeń ustrojowych państwa typu socjalistycznego i nie wynika w sposób nieunikniony z jego istoty".

Skoro więc skończono z kultem jednostki, nic, zdaniem pisma, nie stoi na przeszkodzie zasadniczej reformie prac i organizacji parlamentu. Dotychczasowy podział posłów na zespoły terenowe (według województw) nie zdał egzaminu, projektuje się obecnie tworzenie zespołów poselskich według grup zawodowych, ale i ta koncepcja nie trafia do przekonania autorowi artykułu, gdyż prowadzi nieuchronnie do „odpolitycznienia" Sejmu. „Sejm — przedstawicielstwo ludowe... jest też naczelną reprezentacją polityczną kraju", powinien więc odpowiadać „przekrojowi politycznemu społeczeństwa". Wychodząc z tego założenia, „Tygodnik" wysuwa pomysł rewelacyjny. W Polsce istnieją, w odróżnieniu od Związku Sowieckiego, obok partii klasy robotniczej, dwie inne partie polityczne, dlaczegoż by więc nie miały one mieć osobnej reprezentacji w Sejmie? „Stronnictwo, reprezentacja polityczna pewnej bazy społecznej... musi reprezentować swoją bazę na wszystkich szczeblach życia państwowego, a przede wszystkim na szczeblu centralnym... Niezbędne jest więc organizacyjne powiązanie posłów ze swoją partią. Dlatego rzeczą nieodzowną jest... powrót do systemu klubów poselskich, odpowiadających działającym u nas partiom politycznym. W ustroju, w którym istnieją i działają partie polityczne, partyjne kluby poselskie są właściwą i naturalną formą organizacyjną życia parlamentarnego..." Pewien kłopot powstałby z posłami bezpartyjnymi, ale można by utworzyć z nich odrębną grupę, bądź dopuszczać ich do klubów poselskich w charakterze hospitantów. Dopiero taka reforma, oświadcza pismo, mogłaby uzdrowić Sejm.

Tygodnik „Szpilki" w jednym ze swych kwietniowych numerów zamieszcza rysunek przedstawiający przedział wagonu kolejowego, w którym robotnik usuwa tabliczkę z napisem „Nie wychylać się" i umieszcza nową z napisem „Wychylać się". „Tygodnik Demokratyczny", idąc za nowym prądem, „wychyla się" ale niefortunnie. Próbuje bowiem zapomnieć, że zarówno tzw. „Stronnictwo Demokratyczne" jak i „Zjednoczone Stronnictwo Ludowe" są jedynie „transmisją woli partii do mas", że zadaniem ich jest firmowanie polityki partii komunistycznej w tych warstwach społecznych, do których partia nie przenika pod własną firmą i że oba stronnictwa mogą istnieć tylko pod warunkiem gorliwego pełnienia swej roli służebnej wobec partii. Sejm jest formalnie ciałem wielopartyjnym, faktycznie jednopartyjnym. Jego skład określa nie wola wyborców, lecz wola władz PZPR. Takie czy inne ustawianie „posłów" nic w tym stanie rzeczy nie zmieni. Może jednak „Tygodnik", skoro już się odważnie „wychylił" w kierunku herezji burżuazyjnej, zdobyłby się na jeszcze większą odwagę i zaproponował — wolne wybory?

Podobnie jak „Tygodnik Demokratyczny" „Nowa Kulutra" nalega na Sejm, aby wreszcie pokazał, że jest nie tylko fasadą partii, lecz rzeczywistą władzą. „Sejm ma prawo domagać się ustąpienia ministra, który nie wykazał potrzebnych zdolności i nie sprostał zadaniom. Jeżeli Sejm zacznie tę zasadę stosować — natychmiast wzrośnie poczucie odpowiedzialności wśród urzędników... Za nieudolność, niedołęstwo a nawet za nadużycia swoich urzędników odpowiedzialny jest przed Sejmem minister..."

Nie Sejm, lecz Komitet Centralny PZPR lub jego Politbiuro decyduje o ustąpieniu ministra. Gdyby Sejm komunistyczny, wbrew woli władz partii, zażądał dymisji ministra, byłby to początek kontrrewolucji.

Autorzy tych artykułów nie są zapewne naiwni, lecz podejmują beznadziejny trud wyjścia z zaklętego koła ustrojowych fikcji bez naruszenia zasad partyjnej dyktatury. Jest to kwadratura koła.

NAUKA

Przyczynowość w fizyce*)

Zasada przyczynowości była czymś nie ulegającym wątpliwości dla filozofów starożytności i czasów średniowiecznych. Dla Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu przyczynowość była czymś wręcz oczywistym, czymś co umysł ludzki uświadamia sobie natychmiast, gdy tylko zaczynamy rozmyślać nad otaczającym nas światem. Nawet Kant nie odrzucił zasady przyczynowości, lecz przeniósł ją z kategorii praw rządzących przyrodą do kategorii właściwych umysłowi ludzkiemu.

Pierwsi przyrodnicy, badając prawidłowość przyrody, bez wahania stosowali do niej prawa przyczynowości, znane im z metafizyki. W słynnym swym opisie serca — pierwszym kroku do nowoczesnej biologii — Harvey rozpatruje wszystkie cztery przyczyny: materialną, formalną, sprawczą i docelową. Z czasem jednak coraz szersze rozpowszechnienie mechanistycznego modelu przyrody spowodowało, że inne typy przyczyn powoli usuwano na bok, pozostawiając jedynie przyczynę sprawczą. I jeśli Stalin pisze w swoim „Dialektycznym i historycznym materializmie", że „na świecie działają jedynie przyczyny sprawcze", to wyraża on jedynie głębokie przeświadczenie wszystkich przyrodników XIX wieku.

Warto jednak zauważyć, czego przyrodnicy ci nie byli świadomi, że stosując **nazwę** „przyczyna sprawcza", identyczną z nazwą stosowaną w metafizyce, w rzeczywistości nadawali jej oni całkiem odmienną treść. W sensie filozofii Arystotelesa i tomizmu przyczyna mówi nam, dlaczego jakaś rzecz, jakiś byt **istnieje**, natomiast w sensie fizycznym przyczyna mówi nam tylko, dlaczego coś się **dzieje**. Jeśli twierdzę, że przyczyną ruchu kawałka żelaza jest pole magnetyczne, w które ja to żelazo włożyłem, to mówię jedynie, dlaczego to żelazo się rusza, a nie dlaczego ono istnieje. Stosunek między żelazem, a magnesem jest tu więc tak dalece odmienny od stosunku przyczynowości w znaczeniu metafizycznym, że zapytać należy, czy użycie w obu wypadkach tego samego słowa „przyczyna" nie jest źródłem poważnych nieporozumień.

Ustalić kryterium „przyczynowości" w znaczeniu fizycznym nie udało się dotąd nikomu. Jak wykazał Metallmann w 1934 r. („Determinizm nauk przyrodniczych") żadne ze znanych zjawisk fizycznych nie może stanowić niezawodnego kryterium wyjaśniającego, które z dwu współzwiązanych zjawisk jest przyczyną, a które skutkiem. Nie może nim być np. ani następstwo czasowe, jak świadczy o tym przykład przeskoku elektronu i wydzielonego kwantu światła, ani wzrastająca entropia, mająca jedynie charakter statystyczny. Nie znaczy to oczywiście, aby w pewnym konkretnym wypadku odróżnienie przyczyny od skutku nie było możliwe. Ale ustalenie **kryterium** przyczyny i skutku, które by zawsze obowiązywało, okazało się dotąd zadaniem nie do przeprowadzenia.

W tych warunkach spróbujmy podejść do tego zagadnienia z nieco innej strony. Zacznijmy od pytania: co to jest teoria fizyczna? Z punktu widzenia logiki jest to taki układ zdań pierwszych i pierwszych pojęć, z którego — przy pomocy odpowiednich metod matematycznych i logicznych — potrafimy wysnuć wszystkie zjawiska fizyczne pewnego ich zakresu. I podobnie jak w geometrii — która zawsze była wzorem dla fizyków — z pewnej niewielkiej ilości aksjomatów i pojęć pierwszych wydedukować możemy wszystkie jej twierdzenia, tak teoria fizyczna pozwala nam wysnuć wszystkie znane zjawiska fizyczne z kilku pojęć pierwszych, jak masa, odległość, czas, ładunek elektryczny itp. i z kilku podstawowych „praw przyrody". W gruncie rzeczy jest to kwestią całkowicie obojętną, czym są te pojęcia pierwsze i owe „prawa przyrody". Podobnie jak w automacie jego wewnętrzny mechanizm może nas nic nie obchodzić, jeśli tylko, wrzucając odpowiednią monetę do odpowiedniego otworu, otrzymamy zawsze odpowiednią czekoladkę, podobnie pewna teoria fizyczna jest tak długo słuszna, jak długo — wprowadzając odpowiednie wielkości w jej równania — otrzymujemy odpowiedzi zgodne z doświadczeniem.

Użyłem w powyższym stwierdzeniu słowa „równania", a nie „prawa". Wobec tego bowiem, że fizyka interesuje się wyłącznie mierzalnymi właściwościami opisanych zjawisk, a więc, że jej podstawowymi elementami są wielkości mierzalne — siłą rzeczy — tedy wszystkie teorie fizyczne mają charakter równań matematycznych. Ten matematyczny charakter nowoczesnej fizyki powoduje, że słowo „przyczyna" znaczy w niej nie tylko, jak to wyżej wspomnieliśmy, coś innego niż w metafizyce, ale i coś całkowicie odmiennego niż w życiu codziennym. Jeśli wolno mi powtórzyć przykład podany w ŻYCIU (nr 353 i 354), gdy Jan zrzuca ciężki kamień z pierwszego piętra i kamień ten zabija Piotra, nikt nie będzie miał wątpliwości, że przyczyną śmierci Piotra był Jan, i na pewno żaden sąd na świecie nie przyjmie obrony Jana, że to siła ciążenia, a nie on był zabójcą. Równocześnie jednak żaden fizyk nie będzie miał wątpliwości, że przyczyną ruchu kamienia była właśnie siła ciążenia.

I obie strony mają rację. W teorii fizycznej bowiem „przyczyną" jest po prostu zbiór parametrów (w naszym wypadku pole grawitacyjne), które — wprowadzone do równania opisującego dane zjawisko — dają nam liczbowe rozwiązanie badanego zjawiska (w naszym wypadku ruchu kamienia).

W wieku XIX ten związek matematyczny pomiędzy przyczyną a skutkiem był — w wyniku podówczas stosowanego mechanistycznego modelu świata — funkcją jednowartościową. Przy pewnym określonym zbiorze parametrów równania fizyki dawały nam zawsze tylko **jedno** rozwiązanie; a jeśli nawet czasami typ równania dawał więcej rozwiązań, to poza jednym łatwo je było odrzucić wszystkie, jako „fizycznie bez znaczenia". To jedno znaczeniowe określenie skutku przez przyczynę, ów **determinizm**, uważano wtedy za pojęcie identyczne z przyczynowością, gdyż fizycy ówcześni byli przeświadczeni, że żaden inny stosunek między przyczyną a skutkiem nie jest do pomyślenia.

Ponieważ jednak fizycy, i w ogóle przyrodnicy zeszłego stulecia byli złymi filozofami, więc ten czysto matematyczny związek między przyczynowością a determinizmem zaczęli przenosić, bez żadnego uzasadnienia, i do wszystkich innych zjawisk otaczającego nas świata. I nie tylko bez żadnego uzasadnienia, ale — co więcej — wbrew obserwacji, skoro cały szereg zjawisk zachodzących w przyrodzie żywej, a zwłaszcza związanych z umysłowością człowieka, wyłamywał się spod determinizmu, nie dając żadnej uzasadnionej podstawy do sądzenia, aby ta sama przyczyna musiała zawsze wywoływać ten sam skutek. Ostatecznie, na gruncie metafizyki, Bóg, będąc przyczyną pierwszą wszystkiego na świecie, jest przyczyną całej tego świata różnorodności.

To identyfikowanie determinizmu z przyczynowością w fizyce doprowadziło do tego, że — gdy podstawowe prawa nowoczesnej fizyki okazały się funkcjami wielowartościowymi, a nie — jak dotąd jednowartościowymi — wielu fizyków, a za nimi i filozofów, zaczęło twierdzić, że „nowoczesna fizyka usunęła przyczynowość". Czy jednak takie twierdzenie jest słuszne i dobrze odpowiada istotnej treści słowa „przyczyna" w fizyce?

Weźmy jako przykład funkcję „psi" Diraca. Nie jest to już więcej jednowartościowa funkcja dawnej fizyki. Jeśli jednak wprowadzimy do niej pewne określone wartości parametru — przyczyny (np. określony stan atomu), to równanie da nam **ściśle określony zbiór** wartości zjawiska wywołanego przez tę przyczynę (długości fali, szerokości i natężenia prążków wydzielonego widma). Nasz automat nie jest już tak prosty jak był poprzednio. Wrzuciwszy odpowiednią monetę w odpowiedni otwór nie otrzymuje się obecnie za każdym razem tej samej czekoladki. Jeśli jednak to wrzucanie monety powtórzy się w identycznych warunkach ze sto razy, to można być prawie pewnym, że otrzyma się 25 czekoladek typu „A", 20 typu „B" itp. Nasz automat jest obecnie niewątpliwie bardziej złożony, ale nikt chyba nie może wątpić, że „przyczyną" faktu otrzymania tego typu czekoladek były monety, jakie wrzucano do automatu.

Nie ma więc żadnego uzasadnienia, aby twierdzić, jak to czyni wielu fizyków i filozofów, że ten ścisły przecież, matematyczny, związek między dwowa zjawiskami przestał być związkiem przyczynowym. Tym bardziej więc nie ma żadnego uzasadnienia, by dążyć do zastąpienia obecnych praw statystycznych fizyki — prawami jednowartościowymi. Jak długo bowiem obecne związki funkcyjne dobrze odpowiadają warunkom teorii fizycznej, tzn. jak długo ich wyniki liczbowe pokrywają się z wynikami doświadczenia, tak długo są one dobrą teorią fizyczną i nie ma żadnego powodu, aby szukać związków innych.

Jak już powiedzieliśmy, znalezienie **kryterium** wyjaśniającego które z dwu związanych ze sobą zjawisk „A" i „B" jest przyczyną, a które skutkiem, nie udało się dotąd nikomu. Nie znaczy to jednak, aby nie można było skonstruować **definicji** przyczyny, podobnie jak nie ma i — jak wiemy nie może być — żadnego ogólnie obowiązującego kryterium zbieżności, a jednak ścisła definicja zbieżności jest najzupełniej możliwa.

Spróbujmy więc zaproponować definicję przyczynowości fizycznej odpowiadającą obecnemu stanowi tej nauki.

Z dwu związanych ze sobą zjawisk A i B, nazwiemy A przyczyną, a B skutkiem i tylko wtedy, jeśli:

1) każdej wartości zjawiska A odpowiada ściśle określony zbiór wartości zjawiska B;

2) jeśli istnieje teoria fizyczna, zgodna z obowiązującymi prawami fizyki i z doświadczeniem, a wyrażona w postaci matematycznej, która wiąże zjawisko A ze zjawiskiem B;

3) jeśli możemy sobie wyobrazić zbiór doświadczeń, w których nadając zjawisku A określone wartości, otrzymamy określony i zgodny z teorią zbiór wartości zjawiska B.

Warunki 1 i 3 obejmują zarówno zjawiska podlegające prawom statystycznym („zbiór wartości"), jak i deterministycznym, w którym to wypadku „zbiór" staje się zbiorem jednostkowym.

Warunek 2 wyklucza wypadki post hoc ergo propter hoc, gdyż wymaga nie tylko korelacji, ale i teorii łączącej dwa zjawiska. I tak np. mgła nie jest przyczyną fizyczną nośności głosu, skoro nie istnieje żadna teoria fizyczna łącząca te zjawiska, natomiast inwersja jest przyczyną zarówno mgły jak i nośności głosu.

Warunek 3 wreszcie czyni stosunek przyczyny i skutku jednostronnym. Możemy sobie np. wyobrazić zbiór doświadczeń, w których przenosząc wielokrotnie elektron atomu wodoru na pewien poziom energetyczny — otrzymamy ściśle określony i zgodny z teorią zbiór wartości wydzielonych kwantów światła. Natomiast doświadczenie odwrotne, w którym nadając odpowiednie wartości **wydzielonym** kwantom światła (a nie **pochłoniętym**, jak w wypadku absorbcji) powodować będziemy przechodzenie elektronów na inne poziomy, jest nie do pomyślenia. Zgodnie więc z naszym warunkiem 3 — w zjawisku **emisji** światła przesunięcie elektronu na wyższy poziom energetyczny jest przyczyną, a wydzielone kwanty światła — skutkiem.

Warto również podkreślić różnicę pomiędzy naszą definicją doświadczenia wyobrażalnego a postulatem Diraca, aby każda nowowprowadzona wielkość fizyczna była określona doświadczeniem, które w **rzeczywistości** można wykonać. Opisane wyżej doświadczenie przenoszenia elektronów może być praktycznie nie do przeprowadzenia, można je sobie jednak zawsze wyobrazić przy pomocy choćby „demona Maxwella", który z wszystkich atomów o różnych stopniach pobudzenia wybierze tylko atomy mające elektrony na żądanym poziomie.

Jeśli zgodzimy się przyjąć zaproponowaną, lub jakąś może lepszą od tej definicję przyczynowości fizycznej, to zobaczymy, że nowoczesna fizyka bynajmniej nie usunęła przyczynowości, a tylko nadała jej inny charakter, zastępując funkcje jednowartościowe dawnego determinizmu funkcjami wielowartościowymi fizyki atomowej.

Stwierdzenie tego stanu rzeczy pozwoli wyjść z dwu nieporozumień, bardzo częstych zarówno wśród fizyków, jak i filozofów.

Pierwsze nosi charakter czysto semantyczny. Jeśli uświadomimy sobie, że stosując słowo „przyczyna" w fizyce i metafizyce używamy tego samego słowa, ale mówimy o czymś zgoła innym, ustanie równocześnie i nieporozumienie drugie, a mianowicie obawa wielu metafizyków i filozofujących fizyków, że obecny stan rzeczy w fizyce usuwa grunt spod nóg i przyczynowości w metafizyce. W rzeczywistości bowiem nie ma żadnej racji do takiej obawy. Jeśli np. w metafizyce twierdzę, że świecenie słońca jest przyczyną sprawczą życia na ziemi, ponieważ — gdyby słońce miało zaprzestać świecić — życie na ziemi musiałoby zamrzeć w bardzo krótkim czasie, to ten niewątpliwie słuszny stosunek przyczyny i skutku pozostanie słusznym zawsze, bez względu na to, jak fizyka tłumaczyć będzie zjawisko świecenia słońca a chemia zjawisko fotosyntezy i jaki będzie charakter praw fizycznych rządzących tymi zjawiskami.

To jasne oddzielenie od siebie pojęć i zastosowań przyczynowości w zakresie metafizyki i w zakresie fizyki, pozwoli fizykom budować takie teorie fizyczne (a tym samym i takie typy przyczynowości fizycznej), które najlepiej będą odpowiadały obserwowanym przez nich zjawiskom, bez żadnego świadomego, czy też nieświadomego wpływu ich poglądów filozoficznych. Równocześnie pozwoli ono metafizykom wyzwolić się może skuteczniej niż dotychczas od pseudo-ontologii niektórych filozofujących fizyków.

Dr Tadeusz Felsztyn

*) Odczyt wgłoszony w dniu 7 kwietnia 1956 roku w Polskim Towarzystwie Naukowym na Obczyźnie.

NOWE PRZEKŁADY PSALMÓW

PSALM 1

Błogosławiony,
Kto nie wszedł w radę bezbożnych,
ani na ścieżce grzeszników nie stanął,
ani nie zasiadł na ławie szyderców.

Lecz prawa Pana
pożąda
i o przykazaniach Jego
rozmyśla dzień i noc.

I będzie jak drzewo,
rosnące nad strumieniem,
co plon przynosi w porze swej:
nie zeschnie jego liść,
i wszystkie czyny jego —
owocne.

Nie tak bezbożnym, nie tak;
lecz są jak proch
pędzony przez wiatr.

Dlatego sędziami nie będą
bezbożni,
ani grzesznicy
radcami sprawiedliwych,

Bo ścieżkę sprawiedliwych zna Pan,
a droga bezbożników wiedzie ku przepaści.

PSALM 3

PSALM DAWIDA W UCIECZCE PRZED SYNEM SWYM ABSALONEM.

Jak liczni są, Boże, prześladowcy moi,
jak liczni są nieprzyjaciele

i zewsząd szydzą ze mnie:
zbawienia nie znalazł w Bogu.
Ale Ty, Panie, tarczą moją jesteś
i dumą wznoszącą mi czoło,

zawołać więc mi tylko ku Panu
i odpowie mi z góry swej świętej szczytu.
Spokojny sen
pod płaszczem Jego,

i nie ulęknę się tłumu,
który otoczył mię.

Powstań, Panie, zbaw mię, Boże mój,
któryś uderzył policzek wrogów mych
i kły połamał bezbożności!

Z Boga zbawienie nasze!
Błogosławieństwo ześlij, Panie, ludowi swemu!

PSALM 12(13)

PIERWSZEMU Z CHÓRU. PSALM DAWIDA.

Ach, kiedyż wspomnisz o mnie, Panie,
kiedyż oblicze zwrócisz ku mnie?
niepewność w duszy mojej
i żałość w sercu moim dzień po dniu,
kiedyż przestaną szydzić ze mnie
nieprzyjaciele?

Wysłuchaj mię, Panie Boże mój,
i oczy moje oświeć
bym nie zasnął w śmierci;
by nie rzekł nieprzyjaciel: Zwyciężyłem go!
i nie radowali się prześladowcy
z upadku mego.

Bom zaufał
w miłosierdziu Twoim,
i rozraduję się w zbawieniu Twoim,
zaśpiewam Panu pieśń,
bo mnie obdarzył wielce.

PSALM 150

Alleluia
Chwalcie Pana w świątyni Jego,
chwalcie Go
na tronie mocy Jego.
Chwalcie Go dla wielkich czynów Jego,
chwalcie Go
wedle ogromu potęgi Jego.
Chwalcie Go głosem rogu,
chwalcie Go
muzyką liry i cytry.
Chwalcie Go uderzeniem w bębenek i tańcem,
chwalcie Go
fujarką i harfą.
Chwalcie Go na cymbałach dźwięczących,
chwalcie Go
na cymbałach rozgłośnych.
Niech wszelka dusza chwali Pana.
Alleluia.

tłumaczył J. A. Ihnatowicz.

LISTY Z NIEMIEC

MIĘDZY BONN A WARSZAWĄ

Drukowany w nr. 24 ŻYCIA artykuł „Nad Renem kwitną drzewa" porusza m. in. sprawę narastającego zainteresowania na temat ewentualnego nawiązania przez Niemcy Zachodnie stosunków dyplomatycznych z państwami satelickimi bloku wschodniego, a w pierwszym rzędzie — z Polską. Poniżej zestawiam kilka wypowiedzi polityków i publicystów zachodnio-niemieckich wszystkich nieomal obozów politycznych, zanotowane w ciągu zaledwie dziesięciu dni po napisaniu wspomnianego artykułu. Świadczą one o stopniu aktualności tego zagadnienia.

Za prawdziwą sensację uważa się niedwuznaczną wypowiedź członka gabinetu von Merkatza, przedstawiciela konserwatywnej Niemieckiej Partii (Deutsche Partei), który na zebraniu w Lueneburgu poparł ideę podjęcia stosunków dyplomatycznych z państwami satelickimi. Wystąpienie jego mówi o tym, że nawet w łonie samego rządu bońskiego istnieją co do tej kwestii bardzo rozbieżne poglądy.

Podobny postulat pod adresem polityki rządowej zgłosił kilka dni wcześniej czołowy polityk partii socjal-demokratycznej, profesor Carlo Schmid, wicemarszałek parlamentu bońskiego. Kierownicy partii liberalnej Dehler i Mende już od dawna nie ukrywali swych dążeń do bezpośrednich kontaktów ze stolicami krajów środkowo-europejskich. Rzeczników kontaktów takich nie brak także wśród polityków samej chrześcijańskiej demokracji. Ostatnie wystąpienia posła Kiesingera, profesora Friedensburga, berlińskiego przedstawiciela Lemmera i niejednokrotne uwagi, wypowiadane na ten temat przez marszałka Bundestagu Gerstenmaiera, dowodzą że i poglądy partii kanclerskiej są co najmniej niejednolite.

Mimo to nie należy w czasie najbliższym oczekiwać konkretnego zbliżenia do Warszawy, Pragi czy innych stolic obszaru środkowo-europejskiego. Ster polityki zagranicznej Niemieckiej Republiki Federalnej spoczywa nadal nienaruszalnie w rękach kanclerza Adenauera, który — jak na to wskazują liczne symptomy — jest nieubłaganym przeciwnikiem stosunków dyplomatycznych z reżymami komunistycznymi na Wschodzie. Powątpiewać jednak należy, czy tę samą wstrzemięźliwość w tym zakresie posiada formalnie odpowiedzialny za politykę zagraniczną Bonn minister von Brentano, którego faktyczny wpływ na bieg spraw zagranicznych coraz bardziej będzie narastać. Na konferencji prasowej w Oslo powiedział wprawdzie von Brentano — z okazji swojej wizyty tu w ostatnich dniach maja — że rząd federalny nie nawiąże stosunków dyplomatycznych z nikim, kto utrzymuje stosunki z reżymem wschodnio - niemieckim w Pankow, dementując tym samym poglądy swego kolegi gabinetowego von Merkatza. Mimo to dziennikarze i publicyści niemieccy twierdzą, że von Brentano musi wprawdzie na razie „trzymać się kursu dra Adenauera", w istocie jednak przychyla się do głosów, propagujących kontakt bezpośredni z Warszawą.

Socjaldemokratyczny „Telegraf" w Berlinie pisze w dniu 2 czerwca, że „Adenauer storpedował propozycję von Brentano nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską jako z piątym mocarstwem okupacyjnym". Popierający w zasadzie politykę Bonn, hamburski „Die Welt" pisze w artykule wstępnym F. Meichsnera (z dnia 29 maja), „że w czasie krótkiego urzędowania ministra spraw zagranicznych nie brak oznak, świadczących o tym, iż może on łatwiej aniżeli inni być gotów do zejścia z grząskich dróg politycznych. Konsekwentnie postępowałby jednak w tym wypadku tylko wówczas, gdyby obrał drogę w kierunku Warszawy — mimo iż krok taki byłby sprzeczny z dotychczasowymi wyobrażeniami w niemieckiej polityce zagranicznej". Zaledwie w cztery dni później (2 czerwca) omawia ten sam problem na łamach tego samego pisma jego czołowy i bardzo poczytny publicysta Paul Sethe. Nawiązując do wyżej omawianego wystąpienia von Merkatza, pisze Sethe, że „z pewnym zdziwieniem dowiadujemy się następnie, że pan von Brentano niewiele się różni w tej sprawie (tj. w kwestii stosunków dyplomatycznych z krajami wschodnimi) od swego kolegi".

Poza oficjalnymi rzecznikami polityki kanclerskiej jeden jedynie ośrodek polityczny zachodnich Niemiec jest wyraźnie przeciwny zbliżeniu się do Warszawy. Wolfgang Hoepker, naczelny redaktor pisma hanowerskiego, związany z cytowaną przeze mnie już niejednokrotnie grupą „Christ und Welt" w Stuttgarcie, umieścił na łamach tego tygodnika intelektualistów stuttgarckich obszerny artykuł (31 maja), poświęcony politycznej „odwilży" w krajach za żelazną kurtyną. Gdy wszyscy rzecznicy stosunków dyplomatycznych z krajami satelickimi podkreślają w pierwszym rzędzie celowość stosunków takich z Polską, inaczej o tym mówi Hoepker, pochodzący zresztą z Polski i znający się doskonale na sprawach polskich. Hoepker twierdzi, że Niemcy nie powinni jednolicie traktować wszystkich państw regionu środkowo-europejskiego. „Z pewnością — pisze Hoepker — mogłyby być nawiązane bez większych trudności stosunki dyplomatyczne z Węgrami, Bułgarią i Rumunią... Inaczej już wygląda sprawa z Czechosłowacją, skąd wypędzono Niemców sudeckich, którzy ponieśli tam ogromne straty materialne. Polska natomiast przedstawia problem odrębny. W tym wypadku mamy do czynienia z „układem", zawartym z satrapskim rządem pana Ulbrichta, uznawanym przez nas za prawnie obowiązujący. Z tego powodu nawiązanie stosunków trzeba by uzależnić od poprzednich pertraktacji, które należą jeszcze do bardzo dalekiej przyszłości."

„Christ und Welt" ubiera się stale w szaty lojalnego rzecznika wolności ludów za żelazną kurtyną. W sprawie granicy jest jednak nieubłagany, i to w momencie, kiedy inne czynniki zdradzają pewne skłonności do kompromisowego podchodzenia do tej kwestii. O nieustępliwości w tej sprawie poucza nas inny artykuł, umieszczony w tym samym numerze „Christ und Welt", omawiający zalecenia byłego Wysokiego Komisarza w Niemczech McCloy'a. Pan Hoepker nie zaradza nam niestety, kiedy nastąpić ma ta „daleka przyszłość", sprzyjająca ewentualnym pertraktacjom na temat granicy. Nie trudno się domyślić, jeśli przypomnimy sobie, że w grupie „Christ und Welt" nadal są żywe wspomnienia „Taurogów i Rapalla, tj. porozumienia się z Rosją... kosztem Polski. **S. C.**

AMBASADOR NIEMIECKI W SPRAWIE GRANICY

Agencja prasowa uchodźców niemieckich (HVP) donosi z Monachium o rzekomej odpowiedzi, jaką ambasador niemiecki w Londynie, baron von Herwarth udzielił znanemu w kołach emigracji polskiej dziennikarzowi warszawskiemu Litauerowi w sprawie stosunku Niemiec do obecnej granicy polsko - niemieckiej. Litauer, który przebywał w Londynie z okazji pobytu tutaj Bułganina i Chruszczowa, brał udział w przyjęciu prasowym, zorganizowanym z okazji pobytu w Londynie bońskiego ministra spraw zagranicznych von Brentano. W czasie tego przyjęcia miał okazję rozmawiania z von Brentano. Tenże zapytany, co myśli o znanym oświadczeniu londyńskim swego ministra w sprawie „problematyczności niemieckiego tytułu prawnego do ziem na wschód od Odry i Nysy" miał — według agencji prasowej HVP — powiedzieć, co następuje:

„Wie pan najlepiej, że na ziemiach tych nie ma już więcej Niemców, że tam mieszkają Polacy. Czy w świetle tego faktu, biorąc sprawę realnie, nie są nasze pretensje problematyczne?"

WSCHODNI BERLIN BEZ NAUKI RELIGII

Wschodnio - berliński magistrat wydał w bież. roku nowe zarządzenia dotyczące zasad wychowania w „demokratycznych szkołach". Zarządzenia te przewidują skasowanie nauki religii w szkołach średnich i tak wielkie utrudnienia, jeśli chodzi o szkoły powszechne, że w praktyce i dzieci tych szkół będą pozbawione wychowania religijnego. Lekcje religii w szkołach powszechnych mogą się bowiem odtąd odbywać jedynie po zakończeniu innych przedmiotów nauczania, przy czym lekcja religii nie może się rozpocząć wcześniej aniżeli co najmniej w dwie godziny po zakończeniu normalnych zajęć szkolnych. O kwalifikacjach i dopuszczeniu nauczycieli mających udzielać religii decydują odtąd samowolnie jedynie kierownicy szkół.

Ordynariat biskupi w Berlinie założył przeciw zarządzeniu temu uroczysty protest. Prośba o odbycie rozmowy z burmistrzem miasta na temat nauczania religii nie została dotychczas uwzględniona. Podobny protest wniósł biskup ewangelicki Berlina.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 1 lipca 1956.

NASZE SPRAWY

MACKIEWICZ PRZECIWKO EMIGRACJI

Zeszłoroczny wyjazd do Polski p. Hankego miał wszelkie cechy operetki, ale obecny wyjazd p. Mackiewicza jest bezsprzecznie wydarzeniem większej miary. P. Mackiewicz odgrywał na emigracji rolę na tyle dużą i wywierał na tyle znaczny wpływ intelektualny (mając mało zwolenników w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale narzucając swój sposób myślenia kołom bardzo szerokim, a nawet wielu swoim osobistym wrogom), że czyn jego, zarówno jak jego uzasadnienie, na pewno wywrze w dość szerokich kołach emigracji spore wrażenie. Wrażenie to będzie się jeszcze pogłębiać, gdy pełne temperamentu artykuły p. Mackiewicza zaczną się ukazywać w publikacjach propagandowych komunistycznych, rozrzucanych na emigracji. Nie ma się co łudzić: zarówno przykład p. Mackiewicza, jak jego argumentacja będą wywierać wpływ na postawę co słabszych charakterów i co słabszych intelektualistów, toteż musimy się liczyć z prawdopodobieństwem sporego moralnego kryzysu w niektórych środowiskach emigracji.

Przypuszczam, że nie jestem jedynym, zabierającym na temat wyjazdu p. Mackiewicza głos na łamach ŻYCIA. Mam jednak nadzieję, że — niezależnie od innych oświetleń — będę miał możność wypowiedzenia na łamach ŻYCIA poniższych kilku uwag.

Istotą wypowiedzi p. Mackiewicza, uzasadniającej jego wyjazd, jest twierdzenie, że emigracja straciła rację bytu, bo po pierwsze, sytuacja w Kraju na tyle się poprawiła, że dalszego pobytu na emigracji już od nas nie wymaga, a po wtóre, emigracja utraciła poparcie rządów alianckich, a więc nic nie może zdziałać.

Argumentacja p. Mackiewicza jest, jak zawsze, błyskotliwa i efektowna i tak samo jak zawsze (lub niemal zawsze) — błędna. Pomijam tu zupełnie sprawę, czy p. Mackiewicz jest szczery, czy nieszczery, tj. czy dorabia sobie uzasadnienie do czynu, dokonanego z innych pobudek, czy też zdobywa się na czyn, będący logiczną konsekwencją wniosków, do których doszedł. Istotna jest t r e ś ć jego argumentów. Na mętne i płytkie umysły p. Mackiewicz zawsze swymi argumentami działa bardzo sugestywnie.

Otóż istota dzisiejszego ataku p. Mackiewicza na emigrację — słowem i czynem — polega na podważaniu racji bytu emigracji, na zachwianiu w świadomości emigracyjnego ogółu zrozumienia samej p o t r z e b y istnienia emigracji. Znowu pozostawiam na boku kwestie, nie dotyczące istoty sprawy: nie chodzi mi o postawę tej, czy innej jednostki, ale o postawę emigracji jako zbiorowości. Gotów jestem zrozumieć i uszanować motywy jednostki, która w swojej własnej, specyficznej sytuacji doszła w swoim sumieniu do wniosku, że jej miejsce i jej główny obowiązek jest w Polsce. (W prasie polsko-amerykańskiej ukazała się niedawno wiadomość o pewnym byłym sędzi sądu okręgowego w Polsce, człowieku pod sześćdziesiątkę, który teraz, z myślą o pracy duszpasterskiej w Polsce, odbył studia w seminarium duchownym w Ameryce, został świeżo wyświęcony na księdza i zamierza wrócić do Kraju, bo to było celem jego powołania kapłańskiego. Nikt przecież nie powie, że ten człowiek nie idzie konsekwentnie drogą obowiązku, jaki sobie obrał.) Gotów jestem także odnieść się pobłażliwie do ludzkiej słabości: do tęsknoty, która wzięła górę nad innymi pobudkami. Także i na p. Mackiewicza patrzałbym pobłażliwiej, gdyby oświadczenie jego brzmiało, że wycofuje się z polityki i łamie jako publicysta polityczny pióro, bo nie może już dłużej wytrzymać z dala od ojczyzny i bo zdecydował się wrócić jako szara, bezimienna jednostka. Ale p. Mackiewicz występuje z teorią, że cała emigracja przestała być potrzebna

Otóż to wymaga przypomnienia samych założeń istnienia emigracji, której p. Mackiewicz był przecież jednym z ideologów. Wystąpienie p. Mackiewicza ma swoją dobrą stronę: oczyszcza powietrze, pozwala, przez moralny wstrząs, odświeżyć myśl i ideologię emigracji i oprzeć życie emigracji na nowych podstawach.

Po pierwsze, nieprawdziwe jest twierdzenie p. Mackiewicza, że sytuacja w Kraju poprawiła się w sposób zasadniczy. Czy Prymas Wyszyński objął z powrotem swoje obowiązki? Czy wychodzi w Polsce choćby jedna niezależna gazeta codzienna i choćby jeden w pełni niezależny tygodnik? (Nie mówię nawet o opozycyjnej prasie politycznej: mówię choćby tylko o prasie czysto religijnej.) Czy można w Polsce założyć niezależną od rządu księgarnię wydawniczą? Czy można wydać w Polsce — nie polityczną — a jakąkolwiek książkę bez cenzury? Czy można książki emigracyjne — nie polityczne, lecz religijne, beletrystyczne, naukowe itp. — przesyłać do Polski i tam sprzedawać lub dawać w prezencie? Czy istnieje w Polsce szkolnictwo katolickie? Czy mogą biskupi polscy jeździć „ad limina apostolorum" do Rzymu? Czy można w Polsce swobodnie krytykować Rosję? Czy można pielęgnować wspomnienie o Lwowie i Wilnie? Czy istnieje w Polsce pełna swoboda rozwiązania kołchozów i zakładania prywatnych warsztatów rzemieślniczych? — Wolne żarty! Polska w niczym nie przypomina nawet dyktatur w rodzaju Perona, czy Mussoliniego; Polska jest nadal w mocnych i niczym nie naruszonych pętach niewoli.

Nie inaczej wygląda argument o warunkach bytu i działania emigracji. Że emigracja nie ma poparcia rządów alianckich? A cóż to? Czy je kiedykolwiek miała? Czy miała poparcie rządów alianckich w roku 1945 lub 1946, gdy nas sprzedawano w Jałcie i Poczdamie, gdy setki tysięcy polskich D.P. tłoczyły się zrozpaczone w obozach w Niemczech, gdy usuwano polskie załogi z polskich okrętów i statków, a te okręty i statki oddawano rządowi warszawskiemu, gdy dobrym żołnierzom, za to tylko, że nie życzyli sobie wstąpić do PKPR, nakładano na ręce kajdanki, gdy na paradzie zwycięstwa w Londynie, w której wzięły udział nawet różne nacje całkiem pośledniej klasy, zabrakło Polaków? Skąd to nagłe zdziwienie, że pp. Eisenhower, Eden, Mollet, ba! Adenauer, a choćby i generał Franco, nie popierają polskiej emigracji?

Zadaniem emigracji nie jest i zgoła nie było posiadanie ich poparcia: kto poszukuje rzeczy niemożliwych, ten jest narażony na rozczarowania. Zadaniem emigracji jest zorganizowanie polskiego życia zbiorowego, zorganizowanie żywego polskiego społeczeństwa, poza zasięgiem władzy komunistycznej. Dzięki istnieniu emigracji nie cała Polska jest w niewoli; istnieje płuco, przez które naród polski swobodnie oddycha, istnieje organ, zarówno jak ośrodek nerwowy, które mają w sprawach życia narodowego i narodowej polityki swobodę decyzji i swobodę czynu.

Emigracja nie ma kontaktu z rządami państw alianckich, ale ma kontakt z opinią publiczną narodów Europy Zachodniej i świata, kontakt z Kościołem Powszechnym, kontakt w ogóle ze światem. Ma ona możność swobodnego kultywowania w pełni niezależnego polskiego życia kulturalnego, polskiej myśli i idei, polskiego nieskrępowanego życia katolickiego. (I nie twierdźmy, że tych zadań nie spełnia: pod powierzchnią nurtuje więcej zdrowych i mocnych prądów i procesów niż się bywalcom kawiarni politycznych na Kensingtonie kiedykolwiek śniło.) A nie zapominajmy o tym, że także i sytuacja polityczna może się zmienić. Panowie: Eisenhower etc., etc, czy też ich następcy, mogą kiedyś być zmuszeni uznać polską emigrację za partnera; a oczywiście nie uznają za partnera swoich, nawet może i pożytecznych, płatnych funkcjonariuszy, ekspertów od spraw polskich w swoim aparacie, lecz tylko zdrowe i mocne, w pełni niezależne siły.

Mówiło się w 1945 roku, że tak jak pod okupacją niemiecką istniało polskie państwo podziemne, tak obecnie winno na emigracji istnieć polskie państwo podziemne, ogarniające cały świat. To była właściwa postawa! To powinna być właściwa postawa także i dziś i jutro. Jeśli ktoś sobie wyobrażał, że emigracja jest, lub ma być kółeczkiem w mechanizmie frontu antykomunistycznego, na którego czele stoi dobrotliwy wódz p. Eisenhower, to nic dziwnego, że jest dziś zawiedziony.

Rządy alianckie w roku 1945 chciały się z Sowietami dogadać, chciały ułożyć z nimi stosunki na zasadzie przyjaznego współżycia — i o niczym innym, jak o takim przyjaznym współżyciu nie marzą także i dzisiaj. A niejedne z tych rządów, zgoła się w sposób zasadniczy nie różnią od komunistów w swej koncepcji ustroju świata, i swej wizji wszechświata, dążąc do zwycięstwa cywilizacji ateistycznej, technokratycznej i niwelacyjnej, pomyślanej w sposób, odmienny od komunizmu tylko w szczegółach całkiem drugorzędnych. Inna kwestia, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Świat nie toczy się ani tam, gdzie chciał Stalin i chciałby Chruszczow, ani tam, gdzie chciał Roosevelt, a chciałby Eisenhower. I z niejednym niejeden będzie się musiał pogodzić — zgrzytając zębami.

Naszym nieszczęściem była „zimna wojna". Wzbudziła w nas ona złudzenie, że się coś zmieniło i że możemy się ufnie zdać na protekcję możnych przyjaciół. Zamiast robić naszą własną robotę,— robić systematycznie, własną pracą, stopniowo, ziarnko do ziarnka, według stawu grobla — zaczęliśmy się oglądać na obce rządy, wysiadywać po ich przedpokojach (albo raczej po przedpokojach ich sekretarzy i sekretarzy ich sekretarzy), kołatać o ochłapy ich zasiłków pieniężnych, robić rzeczy, obliczone nie na pożytek, jaki mają przynieść, lecz na to, komu się będą podobać. Teraz „zimna wojna" się skończyła. Wiele dotychczasowych na pozór błyskotliwych poczynań okazuje teraz swą jałowość, bezcelowość i pustkę. Stąd rozczarowanie pewnej kategorii ludzi, którzy sobie zadania akcji narodowej wyobrażali zbyt łatwo.

Ale to nie znaczy, że straciły sens poczynania zdrowe i rozumne. Przeciwnie. Właśnie dla nich oczyściło się teraz pole.

Istnieją po temu warunki, by się emigracja oczyściła i przeorganizowała i by zaczęła odgrywać rolę aktywną i twórczą, o wiele bardziej aktywną i twórczą, niż dotąd.

Na zakończenie — jeszcze jedno. Przypomnijmy sobie czasy „appeasementu", lata 1945-47 i naciski, jakich byliśmy przedmiotem, zmierzające do zmuszenia nas do powrotu do Kraju. Teraz znowu są czasy „appeasementu". Wprawdzie i one też się skończą. Skończą się wielkim rozczarowaniem i rządów alianckich i alianckiej opinii publicznej. Ale na razie — są w pełnym rozkwicie.

Musimy się liczyć z tym, że także i teraz będziemy przedmiotem nacisków. Czuj duch! Bądźmy na nie przygotowani. Kto wie, czy i podróż p. Mackiewicza nie ma podszewki całkiem nieoczekiwanej. Zwróćmy uwagę, jak elegancko się jego wyjazd odbywa: najpierw zapowiedź deklaracji, potem sama deklaracja, a dopiero potem wyjazd.

POLONUS

MARIA CZAPSKA

Miłosierdzie na miarę klęsk

Stron 120. CENA 12/6.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY »VERITAS«

12 Praed Mews, London, W. 2, England

BIBLIOTEKA POLSKA

przedpłata na lipiec i sierpień 1956

Powieść

LLOYD C. DOUGLAS'A

SZATA

(„The Robe")

jest jednym z najsłynniejszych „best-sellerów" w Stanach Zjednoczonych i Brytyjskiej Wspólnocie Narodów w latach ostatnich.

W samym tylko imperium brytyjskim sprzedano tej książki dotąd prawie milion egzemplarzy. Film oparty na powieści Douglasa zdobył ekrany całego zachodniego świata jako jeden z najudańszych obrazów.

Młody trybun rzymski imieniem Marcellus jest dowódcą żołnierzy, którzy wykonali wyrok i przybili do krzyża Chrystusa Pana. Rzucanie losów o szatę Chrystusową stało się początkiem przełomu w duszy Rzymianina. Od tej pory szuka on wszędzie śladów Chrystusa, styka się z Jego uczniami i w końcu staje się chrześcijaninem.

„Szata" jest ogromną powieścią historyczną, toteż wydanie jej w jednym tomie w polskim przekładzie byłoby niemożliwe, gdyż całość dochodzi do 600 stron objętości. Dlatego, podobnie jak dwa lata temu „Pieśń o Bernadecie" Werfla, tak w serii tegorocznej „Biblioteka Polska" wyda „Szatę"

W DWU ODDZIELNYCH TOMACH

Termin przedpłaty na tom I mija dnia 31 lipca br.

Termin przedpłaty na tom II mija dnia 31 sierpnia br.

Cena każdego tomu w subskrypcji

8/6 + 1/- za przesyłkę i i opakowanie.

dol. 1.50; fr. fr. 500.

Z a m ó w i e n i a p r o s i m y k i e r o w a ć:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE,

12 Praed Mews, London, W. 2.

W SPRAWIE PRZEDRUKU KSIĄŻEK ZOFII KOSSAK

W nrze 1 — 1956 r. dwumiesięcznika „Paxu" p. n. „Życie i Myśl" zamieszczono (pt. „Spojrzenie wstecz") przedruk fragmentu powieści „Przymierze" Zofii Kossak, który to utwór ukazał się w wydaniu książkowym nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" w Londynie. Obok przedruku ukazała się następująca notatka redakcji „Życia i Myśli":

„Fragment książki „Przymierze" (rozdz. 6, s. 63-72), wyd. Veritas, Londyn 1952, który zamieszczamy za zgodą Autorki."

W nrze 20 (z 13 maja br.) zamkniętego już w tej chwili pisma pn. „Tygodnik Powszechny", wychodzącego w Krakowie — zamieszczono fragment książki Zofii Kosak pt. „Rok polski", który to zbiór szkiców ukazał się nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Obok przedruku pojawiła się następująca notatka redakcyjna:

„Wyjątek z książki Zofii Kossak: „Rok Polski" (wydanej w Londynie, 1955 r., nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas") przedrukowany z upoważnienia autorki."

W numerze 1 (z 20 maja br.) pisma grupy „Paxu" pn. „Kierunki" (powstałego po zlikwidowaniu warszawskiego „Dziś i Jutro", oraz krakowskiego „Tygodnika Powszechnego") ukazał się przedruk fragmentu powieści „Przymierze" Zofii Kossak (tytuł fragmentu: „I stało się tak..."), która to powieść wydana została przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" w Londynie. Przedrukowany fragment zaopatrzony został przez redakcję następującym przypiskiem:

„Fragment powyższy pochodzi z nieznanej w kraju powieści Zofii Kossak (wyd. „Veritas" Londyn 1952 r.). Drukujemy go na zasadzie specjalnego zezwolenia udzielonego uprzejmie „Kierunkom" przez Autorkę."

Ciesząc się, że przynajmniej takim sposobem mogą dojść do czytelnika w Kraju fragmenty książek, wydawanych na emigracji przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", musimy równocześnie zaznaczyć, że w ani jednym z powyższych trzech wypadków nie był przez wspomniane redakcje pytany o pozwolenie przedruku wydawca.

Jest ogólnie przyjętą regułą, iż prawa autorskie do książki, jak długo dzieło nie jest wyczerpane, pozostają w rękach zarówno autora jak i wydawcy. Niedopełnienie w tych wypadkach owego warunku jest więc naruszeniem respektowanych przez cały świat wydawniczy reguł. Wszystkie wymienione powyżej pisma należą do grupy pism „Paxu", które to ugrupowanie głosi respektowanie etycznych norm katolickich.

*

POWOJENNE EMIGRACJE ZAMORSKIE

„International Catholic Migration Commission" (ICMC) ogłosiła interesujące zestawienie cyfrowe emigracji zamorskiej w latach 1946-1956. W czasie tym wyemigrowało do:

Stanów Zjednoczonych	1.951.300
Kanady	1.232.000
Australii	997.600
Nowej Zelandii	159.400
Argentyny	783.600
Brazylii	645.800
Afryki Południowej	174.400

Daje to w sumie około 6 milionów emigrantów. Milion spośród nich to „dipisi" — Displaced Persons, ofiary barbarzyńskiej „polityki" Hitlera; emigracja ich przeprowadzona została między lipcem 1947 a grudniem 1951.

Milion emigrantów do Australii rozdziela się według krajów pochodzenia następująco: 48% Brytyjczyków, 11% Włochów, 7,4% Polaków, 7,2% Holendrów, 4,3% Niemców, 3,2% Greków, 2,7% Jugosłowian, 2,2% Ukraińców, 2% Łotyszy, 1,4% Węgrów, 1,2% Czechów, 1% Litwinów. Wśród 1.232.000 emigrantów do Kanady stanowili: 35,3% Brytyjczycy, 13,9% Niemcy, 10,2 % Włosi, 9,7% Holendrzy, 5,5% Polacy.

Wynika z tego, że w czasie powojennego dziesięciolecia osiedliło się w Australii ponad 70.000 Polaków. Po Wielkiej Brytanii, jest to więc obecnie największe skupisko polskiej emigracji politycznej.

Brak odnośnych cyfr ze Stanów Zjednoczonych. ICMC podaje tylko, że zarówno w roku 1954 jak 1955 podział emigrantów do USA z poszczególnych kontynentów przedstawiał się następująco: Europa 53%, Azja 5%, Ameryka Północna (tj. Kanada) 37,5%, Ameryka Południowa 2,5%, Afryka 0,5%, Australia 0,3%.

PO ŁEPKACH

STARE PAPIERY

Główną przyczyną niesnasek małżeńskich są stare papiery. Kobiety także lubią nieład, ale powodowany ustawicznym przerzucaniem rzeczy, przepieraniem, wietrzeniem, trzepaniem, liczeniem, oglądaniem pod światło. Nie mogą natomiast znieść widoku porządnie ułożonych rzeczy, a zwłaszcza papierów — bo się ich nie rusza i rzadko się do nich zagląda. Więc z systematycznością zegarowych kukułek powtarzają: — Spal wreszcie te papiery, przecież nigdy do nich nie zaglądasz! Wszystek kurz w domu pochodzi z tych papierów! Jeszcze się w tych szpargałach zalęgnie jakieś robactwo! Żyć się nie chce patrząc na te śmiecie! Dom nie będzie się różnił od chlewka tak długo, dopóki nie znikną te papiery! — I tak w kółko, co godzinę, co dzień, co miesiąc, co rok. A papiery leżą, żółkną i rzeczywiście kurz zbierają. Gromadzą prochy, si magna parvis comparare licet.

Odnosi się wrażenie, że gdyby tylko spalić papiery, świat dla kobiet stałby się rajem. Kurz by zniknął na zawsze, mole i muchy popadałyby z głodu, pokoje przybrałyby wygląd sal lustrzanych w Wersalu, no i nareszcie byłoby dość miejsca na słoiczki, flaszeczki, puzderka, podarte rękawiczki, fotografie, pieski z fajansu od Woolwortha, kredki i notesiki z cenami jarzyn.

Możnaby snuć dalej rozważania o różnicy psychiki męskiej i kobiecej, o ich (kobiet) zamiłowaniu do drobiazgu i męskim do rzeczy ciężkich i trudnych do przenoszenia, o kobiecym upodobaniu do nowości i zmian i męskim konserwatyzmie, ale w tych rozważaniach idzie o co innego: o ludzką skłonność do życia osiadłego.

Człowiek jest istotą osiadłą. Przez całe życie tęskni do stałego miejsca zamieszkania, do określonego trybu życia, zawodu, własności. Dążenie do własności nie wynika u ogromnej większości ludzi z pobudek chciwości i żądzy posiadania, ale z tęsknoty do znalezienia i zabezpieczenia sobie stałego miejsca na ziemi. Człowiek staje się szczęśliwy dopiero w swoim domu, w swoim mieście czy we wsi, w swoim własnym kraju, wtedy, gdy go nie czekają już żadne niespodzianki na większą skalę. Dlatego jedną z głównych sprężyn życia jest dążenie, aby osiąść „na swoim". Skłonność tę zaspokajają też wszystkie mądre rządy i państwa.

Własność i osiadłość jest podstawą większości cywilizacyj. Pogarda dla Cyganów, owego nieszczęsnego narodu, który nie znosi życia osiadłego, i innych nomadów była i jest wspólna wszystkim narodom europejskim. Kultura rodzi się w osiadłości. Stosunek do własności nie wynika z walki klas, z chęci podporządkowania sobie i wyzysku innych ludzi. Im człowiek uboższy, tym bardziej jest przywiązany do swojej własności. Nie ma niczego równego umiłowaniu ziemi i gospodarstwa przez małorolnego chłopa i warsztatu przez drobnego rzemieślnika. Na odwrót, ludzie bogaci nierzadko z łatwością marnotrawią fortuny, wcale o nie nie dbając. Komunizm wyzuwający ludzi z własności nie jest zatem wrogiem bogatych ludzi, ale wszystkich ludzi, gdyż każdy człowiek posiada naturalną skłonność do własności. Ta skłonność leży u podstaw naszej duchowej natury i naszej cywilizacji. Odebrana ludziom jako cel ich dążeń, czyni życie jałowym i cynicznym. Dlatego instynkt własności, przyrodzony ludzkiej naturze, ściśle się wiąże z całym życiem i z równowagą moralną ludzi. Człowiek bez instynktu własności posiada większą skłonność do złego, o ile, rzecz jasna, wyrzeczenie się własności nie płynie z miłości Boga i świadomej służby ludziom.

Dążność do własności nie zawsze, a nawet rzadko, przejawia się w chęci bogactwa. Formy własności są rozmaite. Wszyscy ludzie obdarzeni są instynktem „własnego kąta", który nie koniecznie musi być prywatną własnością, albo przedmiotem wartościowym. Może to być „swój stolik" w jadłodajni, „swoja ulica" w mieście, swoje miejsce w ławce kościelnej itp. Urzędnik w biurze nie znosi, aby mu ktoś zasiadał przy „jego" stole, nikt nie lubi pożyczać własnego pióra, własnego parasola, niżej podpisany ma wstręt do pożyczania własnych książek (zdanie to polecam łaskawej uwadze przyjaciół). Każdy człowiek pragnie mieć coś absolutnie własnego, niezbywalnego, niedostępnego dla innych. Ogromna większość ludzi za nic by nie porzuciła swojego imienia ni nazwiska, prawie wszyscy tęsknią też do własnego grobu.

Zamiłowanie do starych papierów, to jeden z przejawów instynktu własności. Być może, że w tych papierzyskach nie ma nic ciekawego, ale zawsze w jakiś sposób jesteśmy z nimi związani. Papiery należą do działu tzw. „pamiątek" — najbardziej charakterystycznej odmiany zaspokajania instynktu własności. Któż z nas nie zbiera listów, zdjęć, szczególnie ważnych pism, orderów, odznak, starych biletów, programów przedstawień, katalogów wystaw, muszli, szyszek, zasuszonych płatków róż? Kto nie posiada ulubionej koronki, obrazka lub książki do modlitwy?

Zwłaszcza ludzie biedni pragną koniecznie mieć „coś swojego". Dla więźnia najdroższym skarbem jest tobołek z kubkiem na wodę i suchą skibką chleba, dla żołnierza chlebak. Dla wielu jedynym majątkiem są papiery. Przecież każda gazeta czy katalog zostały kiedyś nabyte, a poza tym wiążą się one z jakimś szczególnym dniem czy przeżyciem, a w ich treści mieści się część historii naszego życia. Nie wierzycie? Przejrzyjcie kiedy rocznik starej gazety. Stanie wam przed oczyma przeszłość jak żywa! Oto notatka o umiłowanej książce, o wydarzeniu związanym blisko z waszymi losami, oto wzmianka o czyjejś śmierci, oto koncert czy wystawa, które się będzie zawsze pamiętać... Cóż mówić o listach, katalogach, wycinkach, prospektach wycieczkowych, zawiadomieniach ślubnych! Tak więc gazety i papiery są częścią naszej historii i czasem jedyną naszą własnością. W nich wreszcie zatrzymana jest przeszłość, jak ptak w klatce. Można ją odczytywać i poznawać nawet po latach.

Kończę zatem oświadczeniem, że dalsze nalegania, abym spalił stare papiery, będę uważał za równoznaczne z działalnością komunistów, dążących do odebrania ludziom wszelkiej własności i wyrwania z korzeniami jednego z najpiękniejszych naszych instynktów.

J. B.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust.) Pty.Ltd., 77, Pitt Street, Sydney o r a z **„Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA: Mme E. Kulakowska**, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **DANIA: Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke.Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **FRANCJA: Ks. K. Stolarek**, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Prenumerata kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto. **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gabionzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 8 DM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y. **M. Kijowski**, 380 North Ave., Dunellen, N. J. **S. J. Rozmyslowicz** 5262 Proctor, Detroit 10, Mich. **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mme B. Gierszewska**, 4 Rue Simplon, Fribourg. konto poczt. No 11a 5275 - Fribourg. Pren. kwart. 5.00 fr. **SZWECJA: Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 krs. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach **prenumeraty i ogłoszeń** prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.